

TYGODNIK ILLUSTROWANY



N^o 176.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 7 lutego 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3,
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VII

TREŚĆ NUMERU.

Paweł Żidek (z drzeworytu). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Sienkiewicz (z drzeworytu). — Dawne ubiory i uzbrojenia (dwa drzeworyty). — Kronika sztuk pięknych (dokończenie). — Zwaliska zamku w Krylowie (z drzeworytu). — Szachy. — Rebus. — Rafał Józef Czerwiakowski (dokończenie). — Przegląd piśmienniczy. — Obrazy litewskie (dokończenie). — Dwa pierwsze groby. — Korrespondencya od redakcyi.

Paweł Żidek.

Mąż którego wizerunek tutaj podajemy, wprawdzie nie do naszego, lecz do pobratymczego narodu czeskiego należy, ale że był wychowawcą akademii krakowskiej, mieszkał po dwakroć w tym mieście, tam otrzymał stopień uczony doktora, pisał w Polsce i o jej historii, słuszną więc jest rzeczą abyśmy go bliżej poznali. Jest to zresztą postać w literaturze czeskiej piętnastego stulecia bardzo ciekawa. Współczesny sławnego Jana Husa i arcybiskupa Rokiczany, których zamiary niezawsze i nie we wszystkim podzielał, żyjąc w epoce kiedy piśmiennictwo czeskie, w skutek rozwiniętych polemicznych sporów, doskonalilo się i rozszerzało, ogarniając całe życie narodu, kiedy język łaciński i niemiecki z kościoła i urzędów usunąć tam starano się, — należał do liczby tych, co nie chcieli jeszcze z przeszłością zrywać i dawnego stanu, szczególnie w rzeczach wiary, zmieniać.

Paweł Żidek, nazywany inaczej mistrzem Pawłem z Pragi lub Pawłem Paulirinu-sem, urodził się w Pradze w r. 1413, z rodziców starozakonnych. Po przejściu na wiarę chrześcijańską uczył się najprzód w rodzinnym swym mieście, a następnie w Krakowie i Wiedniu, gdzie otrzymał stopień doktora filozofii. Później udał się do Włoch i tam poświęciwszy się nauce lekarskiej, otrzymał znowu w Padwie i Bolonii stopień doktora medycyny.

Bawiąc we Włoszech, obrał sobie stan duchowny, a po wyświęceniu się na księdza i po ustaniu burzy hussyckiej, wrócił do Pragi, gdzie go uniwersytet przyjął w poczet mistrzów. Papież Eugeniusz IV wyniósł go na godność kanonika przy kościele św. Wita w Pradze i przyrzekł mu biskupstwo litomyńskie, co atoli nigdy do skutku nie przyszło. Z powodu gorliwości z jaką bronił zasad wyznania rzymsko-katolickiego kościoła, Paweł zmuszony został, wraz z innymi mistrzami katolickimi, do opuszczenia w r. 1448 Pragi i do przeniesienia się do Krakowa. Tocząca się albowiem w jego ojczyźnie sprawa nie była i nasze-

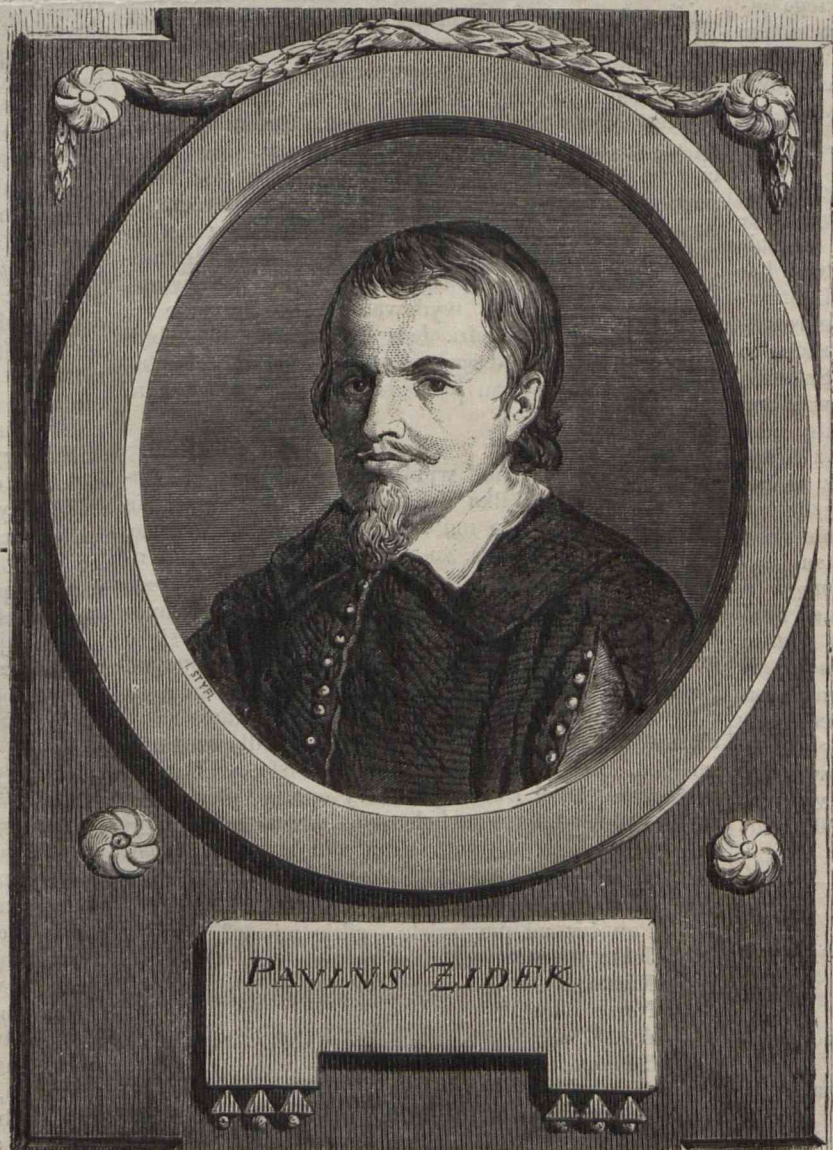
mu krajowi obca. Hussyci, którzy koronę czeską w dom Jagiellonów wnieśli, mieli przedtem stronników w Polsce. Wielu akademików i panów polskich sprzyjało ich nauce, lecz duchowieństwo, mając wpływ w kraju i przewagę nad umysłem monarchy, gorliwie zapobiegało rozszerzaniu się religijnych nowości i wy-mogło na królu Władysławie Jagielle surowe na Hus-sytów prawa. Za czasów biskupstwa Zbigniewa Ole-

fessorowie i uczniowie, zapisując się w album, nauki Husa wyprzysięgać się musieli.

W takim położeniu rzeczy Paweł Żidek przyjęty był w Krakowie z otwartą ręką. Uczyniony mistrzem starszym w akademii, pomagał czynnie tamecznym teologom w walce piśmienniej z Hussytami i należał do dysput prowadzonych z nimi w Krakowie. Z powodu atoli panującego tam morowego powietrza, przeniósł się on wkrótce do Wrocławia, w chwili właśnie gdy głośny zakonnik, błogosławiony Jan Kapistran, występował silnie przeciw czeskim kacerzom. Wtedy Paweł Żidek, chcąc się zapewne przypochlebić Rokiczanowi i jego stronnikom i uzyskać w ten sposób pozwolenie powrotu do Pragi, napisał do nich list, w którym donosił jak Jan Kapistran potępiał Husa i Rokiczana, oraz radził im ażeby przysłali do Wrocławia na zwiady kilku mistrzów, których przyrzekał swoim kosztem żywić. Lecz posłaniec, zamiast co miał zanieść list do Pragi, oddał takowy radzie miejskiej wrocławskiej, która zawiadomiła o tem biskupa i Jana Kapistrana. Paweł więc wtrącony został do więzienia, z którego zdołał go dopiero wyswobodzić Jerzy Podiebradski, rządzący podówczas krajem czeskim.

Po wyjściu z więzienia, Żidek musiał przyznać się publicznie że pobiładził i rzec się nauki Husa. Wyznaczoną mu była we Wrocławiu kara kościelna, której nie uczyniwszy zadosyć, uciekł do Pragi, gdzie robił u Rokiczany starania około odzyskania kanonii i dochodów jakie poprzednio pobierał. Lecz gdy to mu się nie udało, wrócił powtórnie do Krakowa, i zawsze niespokojnego umysłu, wszczął dysputy, w których znowu obraził bawiącego tam podówczas Jana Kapistrana, za co jako kacerz uwięziony, jedynie za wstawieniem się papieża został uwolniony.

Odtąd Paweł Żidek bawił w Pradze na dworze króla Jerzego, z którego polecenia napisał w języku czeskim pomiędzy innymi dziełami cenniejsze jedno pod tytułem: *Sprawa krakowska*, a potem obszerną *Kronikę*, w której zestawiał rozmaite charaktery królów czeskich pomieszczając w obu dużo wiadomości dotyczących się rzeczy polskich, nigdzie indziej nieznanych. Pomimo to nie miał on tam żadnego poważania i cierpiał niedostatek, tak iż w jednym miejscu w *Kronice* pod r. 1458 sam się żalił w tych słowach: „Ja mistrz, doktor najstarszy krakowski, wiedeński, padewski,



PAWEŁ ŻIDEK. (Rysował Gerson, ze sztychu Balzera).

snickiego zagnano ich nawet do ustąpienia z miasta Krakowa, a od rektorstwa Eliasza z Windelicy pro-

bonoński, czeski, tak w Pradze teraz jestem uciśniony, że pies wie swoje miejsce i bydło, a ja jego nie wiem.“ Przy całej jednak swej biedzie, żyjąc w ciągłych rozruchach w kraju, tak był przywiązany do łaciny, że używał wszelkich sposobów, ażeby w kościele śpiewano nie po czesku, lecz po łacinie. Zmarł wkrótce po zgonie króla Jerzego, w r. 1474.

Oprócz wyżej wspomnianych dzieł, najobszerniejszą jego pracą, nad którą lat kilkanaście strawił i którą po większej części w Polsce wykonał, jest w rękopiśmie pozostałe dzieło encyklopedyczne, noszące nazwę *Liber magnus* lub *Viginti artium liber*, obejmujące w sobie wykład rozmaitych nauk: medycyny, teologii, historii i t. p., kodeks na pergaminie po łacinie pisany, który z naszego kraju nie wychodząc, dziwne koleje losu przechodził. Ogromna ta księga in folio znajdowała się w bibliotece króla Zygmunta Augusta i przez niego w r. 1572 testamentem przekazana była jezuitom wileńskim. W owym czasie był zwyczaj drogie i obszerne rękopisma umieszczać na osobnym pulpicie, do którego je przytwierdzano żelaznym lub z innego metalu łańcuchem, co czyniono więcej dla bezpieczeństwa, niż dla wygody czytających. Dopóki więc nauka paleografii znana była powszechniej, wiadano co zawiera ów rękopis, ale kiedy wiadomość tę zatracono, a przykutej do muru księgi nikt już odczytać nie potrafił, zaczęto utrzymywać że jest to dzieło o magii sławnego naszego czarodzieja Twardowskiego i jako takie dla swego szkodliwego na łańcuchu trzymane. Trzeba jeszcze zdarzenia, że około roku 1620 owa księga znikła z Wilna, z czego korzystając jezuita i chcąc wypadek ubrać w cudowną legendę, roznęśli jakoby pewnego razu ksiądz Butwił, jezuita, powodowany ciekawością, zajrzał do tego dzieła i zaczął czytać; wtém powstał hałas i trzask nadzwyczajny, który wystraszonego i napół umarłego jezuitę od niej odpędził, a kiedy nazajutrz zajrzano do biblioteki, już księgi nie było. Widocznie zatem, jak utrzymywano, przez szatana porwana została. Ks. Butwił opowiadał to zdarzenie swemu towarzyszy w zakonie ks. Szpotowi, w podeszłym już wieku, około roku 1660, co Szpot zanotował, a z jego pisma powtórzywszy ks. jezuita Naramowski wydrukował to w r. 1724 w dziele *Facies Rerum Sarmaticarum*. Z tego ostatniego zaczerpnął wiadomość historyk zakon Rostowski, który ze wszystkimi szczegółami znowu o porwaniu z Wilna księgi Twardowskiego jeszcze w r. 1768 rozprawiał. Wiedzieli przeto o tym zniknięciu uczeni i znani jezuita, i nikt z nich o mniejszej przyczynie nie wątpił, ani nie sądził ażeby owa księga do biblioteki uniwersytetu krakowskiego się przeniosła.

Tymczasem tak było w istocie; lecz i tam, polegając na świadectwie tylu światłych mężów, poczytana będąc zawsze za czarnoksiężkie Twardowskiego dzieło, przywołana płytą marmurową, aby znowu nie zniknęła, leżała nieznana aż do roku 1800. Wtedy bawiący w Krakowie znany słowianofil Józef Dobrowski i bibliotekarz uniwersytetu J. S. Bandtkie rozpoznali prawdziwe jej znaczenie i odkryli właściwego autora. Zaczęli też o niej pisać: Przybylski, Szeiner, Breitkopf i Sprenger, lecz utrwalone tylu wiekami zdanie, nieprędko zwalczone zostało. Bandtkie miał nawet z tego powodu liczne przykrości, gdyż brano mu za złe że się targał na podanie, które już za narodowe uważano. Dopiero następcy jego, czcigodnemu Józefowi Muczkowskiemu, udało się ostatecznie rzecz całą wyświecić przy dokładnym opisie kodeksu i życia jego autora, w osobnym dziełku łacińskim w r. 1835 w Krakowie wydanem, pod tytułem: *Pauli Paulirini, olim Paulus de Praga vocati, viginti artium manuscriptum; librum cujus codex membranaceus in Bibliotheca universitatis Jagellonicae Cracoviae asservatus, Twardovio vulgo tribuitur, descripsit vitamque auctoris adjecit J. Muczkowski*.

Najnowsze szczegóły o życiu i pismach Pawła Żidka podał świeżo w języku czeskim Prechtel w Zbiorze życiorysów mężów słowiańskich, w r. 1862 drukiem ogłoszonym.

Kronika tygodniowa.

Czytałem kiedyś podróż jakiegoś Niemca po Ameryce. Było to przed wojną tameczną.

Niemiec przyjechał do ojczyzny Washingtona w zamiarze zrobienia pieniędzy.

Zrobić majątek—łatwo to się da wymówić, ale czyn trochę jest trudniejszy od wyrazów. Potrzeba do tego albo mieć cokolwiek już pieniędzy dla rozpoczęcia interesów, albo posiadać jakąś specjalność od razu spożytkować się dającą, albo też przynieść z so-

bą na świat wielki zapas szczęścia, co za fundusz początkowy, i za specjalność, i za wykształcenie, i za rozum starczy. Żadnego z tych warunków nie posiadał nasz Niemiec, przebył bowiem Atlantyk z lekkim bardzo ładunkiem w głowie i kieszeni, w tej pewnością, że kto tylko ładu amerykańskiego dotknie się nogą, temu już dollarsy same sypać się będą na głowę, a wielcy przedsiębiorcy oblegną szczęśliwego przybysza, męcząc go żeby do nich przystał na współnika.

Po kilku dniach bytności w New-Yorku, kiedy guldeny jakie przywiózł z sobą z ojczystego kraju zaczęły się rozchodzić, dollarsy zaś nie pojawiały się, a przedsiębiorcy przechodzili i przejeżdżali najobojętniej przez Broadway, ani się oglądając na przybysza, zaczęło mu być bardzo smutno na sercu i rozpaczliwe myśli przychodziły mu do głowy. „A może lepiej w Berlinie niż w New-Yorku, może nie trzeba było Berlina opuszczać. Tutaj człowiek gotów nawet umrzeć z głodu, a Kätchen ani domyśli się tego i z najzimniejszą krwią popijać będzie zabeloną kawę, czyli też zaczernione mleko, robiąc na cienkich drutach półczoszkę w swoim okienku.

Te i podobne myśli zaprzętały mu głowę. Ale powiedział jakiś wielki filozof: „Człowieku, nie powinienś rozpaczać, chociażbyś stracił wszystko, jeżeli ci jeden przyjaciel pozostał na świecie.“ Nie pamiętam nazwiska tego filozofa, wiemy tylko dokładnie, że nie nazywał się Krasiecki, bajkopisarz nasz bowiem zupełnie przeciwnego był zdania.

Owóż Niemiec miał w New-Yorku przyjaciela, który piastował szacowny urząd kommissanta przy jakimś domu handlowym. Ów to przyjaciel właśnie kazał mu czekać na jaką szczęśliwą sposobność; ale czekającemu brakło już cierpliwości i lekął się, co gorsza, żeby mu pieniędzy nie zbrakło. Pewnego więc pięknego poranku przyszedł do przyjaciela, wyznał mu szczerze swoje położenie i prosił o radę, byle prędką i skuteczną.

— Przyjdź do mnie jutro, rzekł przyjaciel, może będę ci mógł co naradzić.

Nazajutrz Niemiec stawiał się o oznaczonej godzinie, a przyjaciel rzekł do niego:

— O 150 mil ztąd zakłada się miasto. Będzie to miasto wielkie, handlowe i ludne bardzo. Położenie jego przepyszne, nad rzeką, przy zbiegu dróg żelaznych. Jedź tam, przyjacielu, możesz zrobić wyborny interes. W takim nowozałożonym mieście cokolwiek się przedsięwzięcie, czy przemysł, czy handelek, czy spekulacja jaką, wszystko musi pójść dobrze; pieniądze same szukają człowieka; razem z miastem i ty rośniesz, coraz wzmagając się cyfrą ludności, mnoży się liczba dollarów w twojej kieszeni. Nie radzę ci żebyś się jał tego lub owego; sam zobaczysz i rozpoznasz na miejscu co będzie zyskowne i na czasie. Ażeby ci ułatwić pierwsze kroki, oto masz list do dobrego mojego znajomego, utalentowanego dziennikarza, który już tam pojechał z drukarnią, żeby w nowozałożonym mieście wydawać gazetę. Przyjmie cię dobrze, ugości i peradzi. Jedź tedy, daję ci swoje błogosławieństwo na drogę, a za kilka lat wrócisz tutaj z trzosem pełnym pieniędzy i podziękujesz mi za dobrą radę.

I Niemiec pojechał.

Sto pięćdziesiąt mil! wielkie słowo, ale nie dla kolei żelaznych. Za kilka dni podróżnik nasz ujrzał się na miejscu. Kazano mu zsiąść. Zdziwił się bardzo, wyjrawszy z dworca, że nie widzi żadnych budynków. „Ot głupia rzecz, rzekł sam do siebie, dlaczego to dworca kolei żelaznej nie stawiać zaraz przy mieście; byłoby to wygodniej i lepiej, a tu wlec się o jakie pół mili i więcej, albo płac powozom najętym, jeżeli masz interes do kolei żelaznej. Ale mniejsza z tem. Przybyłem tutaj nie dla krytykowania inżynierów, którzy plan miasta kreśliли, ale dla szukania zarobku. Hej!“ Ostatni jego wykrzyk stosował się do posługacza kolei żelaznej, który oparty plecami o ścianę, spoglądał melancholijnym wzrokiem na czarną wstęgę lasu, z trzech stron widokrąg otaczającą.

— Czego pan żąda? odpowiedział posługacz, nie zmieniając wcale postawy.

— Powiedz mi przyjacielu, gdzie miasto?

— Jakie miasto?

— Miasto B.

— Nasze miasto?

— A tak.

— To tu.

— Jakto tu?

— Masz pan je przed sobą.

— Gdzie przed sobą? Widzę tutaj tylko ogromny plac świeżo śród lasu wycięty, ale ani kawałka budynku, a tém bardziej ulic, placów publicznych i t. p., co przecie wszystko miasto stanowi.

— Ale gdzie tam. To właśnie nasze miasto; tu

wprost, na prawo, na lewo, wszystko co pan przed sobą widzisz.

A to co nasz Niemiec widział przed sobą, nie było bardzo pocieszającym. Stały tam miejscami tyczki z tabliczkami i napisami na nich umieszczonemi, tu i owdzie przeciągnięte były sznury, jakby dla wskazania, że tedy mają iść ulice, w kilku miejscach pokopano doły na fundamenta i nagromadzono zapasy cegieł i kamieni. Robotników bardzo mało krzątało się dotąd, żaden mur jeszcze nie stał, wszystko było w planie, ale nie jeszcze w wykonanie nie przeszło, nie ożywiło się, nie wyskoczyło z ziemi, nie istniało.

I posługacz począł tłumaczyć zdziwionemu podróżnikowi znaczenie wszystkich tych napisów, sznurów, tyczek.

— Tu proszę pana jest nasz teatr, wielka opera; mamy zamówionych kilku artystów włoskich. Będzie to siła kosztować, ale nie trzeba sobie odmawiać tej przyjemności. Tam dalej na prawo, gdzie ten wielki rów przekopany, to teatr narodowy. Widzi pan ten drag z wiechą słomianą przyczepioną do niego, to ratusz; fasada o trzydziestu filarach kamiennych; wchodzi się przez wielkie schody marmurowe, ciągnące się przez całą długość gmachu; na pierwszym piętrze galerye, tam będą obrazy, posągi i muzeum rzadkości. O! miasto B. nie powstydi się pod tym względem. A tu z boku, gdzie sterczą te pnie drzewa niewykarczowane jeszcze, to redakcyja naszego dziennika; będzie to dziennik umiarkowany, rozjemczy, niedający się uwić namietnościom stronnictw, które tyle złego wyrządzają w dziennikarstwie amerykańskim. Zamówiona już jest do niego parowa prasa, która odbija 50,000 egzemplarzy na godzinę. Tutaj masz pan wielką salę koncertową, a tu ulica gdzie będą najgłośniejsze sklepy; nazywa się ulicą Handlową i prowadzi do giełdy. Patrz pan, tam wprost przed siebie, te kupy cegły co tam nagromadzone stoją, to giełda. Tu pójda w obrót milionowe interesa, a sala giełdowa będzie większa aniżeli w New-Yorku, ze szklanym dachem, o wiązaniach żelaznych.

I podczas kiedy posługacz to mówił, podróżnik spoglądał w około siebie i przecierał sobie oczy z zadziwieniem. Wszędzie tylko place puste... wszystkie te świetności miały istnieć, ale kiedy?

Otóż moja kronika jest trochę jak owo miasto istniejące w planie. Kronika, szeroki wyraz! Ile to w jednym artykule dałoby się pomieścić rzeczy, a ile należałoby pomieścić. Tutaj sprawozdanie o piśmiennictwie, o nowowychodzących książkach; tam znowu rysy charakterystyczne, szkice, anegdoki nawet. Słowem kronika tygodniowa, powinna to być cała gazeta w jeden zebrana artykuł, kreślona przytém w sposób najprzystępniejszy dla czytelnika i najłatwiejszy dla pisarza, bo sobie gawędzi tylko bez planu naprzód osnutego, bez stosowania się do reguł, do porządku, przechodząc z przedmiotu na przedmiot, od koncertu do stroju wykwińskiego, od świeżo wydanej książki, do nekrologu jakiego znanego ogółowi zmarłego, do sprawozdania o lada czém, o bruku, o rynnie z której woda się sączy, o wietrze który świszczy w kominie. A ja jednak po całym tym moim gmachu kronikarskim, naprośno dla siebie szukam przedmiotu.

Na przykład, przysłało mi w tych dniach bardzo ciekawy dokument, a jednak długo bitem się z myślami, czy mam pisać o nim. Boć to tylko śmieszność indywidualna, chociaż nie tak rzadko wydarzająca się jakby się zdawać mogło, a w dzisiejszych czasach naganniejsza niż kiedykolwiek. Lecz wreszcie namyśliłem się donieść wam o tém, bo ogłoszenie tego faktu, choćby dzisiaj nie w porę wypadło, zdać się zawsze może na przyszłość, dla nauki ludzi gonionych za... pęcherzami wiatrem rozdętemi.

Przyjechał tu na mieszkanie do Warszawy z bogatym pewien przemysłowiec. I wystawcie sobie, ten człowiek nie miał co robić z pieniędzmi. Nie miał co robić... tak mówił, a jednak najbliższa jego rodzina żyje w nędzy, o co on wcale się nie troszczy, nie przyznając się do niej.

Ale mniejsza o to, widać jegomość ów nie znajdował się nigdy na przedstawieniu Geldhaba, bo przysłała mu do głowy dziwna myśl utworzenia sobie rodowodu genealogicznego. Tak jest, dzisiaj, w kraju naszym, w r. 1863, ten bogacz kazał sobie zbudować, albo raczej nakreślić, drzewo genealogiczne w jednym z tutejszych zakładów litograficznych. Pokazywano nam to drzewo. Pień wychodzi od jakiegoś szlachcica, którego przodek, hrabia, przywiózł z sobą swój herb w r. 966. Ale wszystko to niknie przy kollygacjach jakie tam są wywiedzione. Co za dziwne imiona i dziwniejsze jeszcze tytuły! Jeden z przodków tém się szczególnie zaleca, że był w Paryżu, przynajmniej do jego imienia wielkimi literami ten Paryż dodrukowany. A snadź rodzina to znakomicie plen-

na, bo z małżeństw rozrasta się po osm, dziesięć, dwanaście potomków, często i więcej. Zaiste, podziwiać trzeba sztukę litografa, że to wszystko potrafił jako tako przynajmniej powiązać i złączyć w jedną całość. W niektórych gałęziach pomiędzy narodzone mi dziećmi spotykamy kółka jakieś próżne, bez zamieszczonych w nich imion. Przyznajemy iż nie umielimy sobie tego wytłumaczyć, chyba tylko w ten sposób, że to wszystko są dzieci mające się dopiero narodzić. Jakież to umiejętnie przewidywanie przyszłości! Pozostawione są białe miejsca dla tej przyszłej szlachty, dla tych przyszłych ozdób i podpór naszego społeczeństwa...

I znajdują się tacy, którzy dziwią się autorom, wysmiewającym owe zastarzałe przesady, owe zgrzybiałe klejnotowe przywileje. Zaiste, wczoraj, dziś, jutro, zawsze będzie jeszcze czas i pora wrytykania palcami tych śmieśzności, tkwią one bowiem w takich nawet, którzy do odróżniania się czémkolwiek od innych, najmniejszego nie mają prawa.

Od trzech tygodni nazbierało się w mojej tece sporo materyałów.

Jeden z korespondentów przesłał mi artykuł wyjęty z Kurjera Wileńskiego, pod tytułem „Całowanie rąk mężkich.“ Bardzo ważna kwestya jest tu zaczepiona. Autor artykułu, biorąc pochoch z tego, że widział pięćdziesięcioletnią kobietę, całującą w rękę dwudziestoletniego młodzieńca, powstaje na ten gorzej niż śmieszny obyczaj. I ma słuszość. Ale całowanie rąk mężkich jest tylko jednym, bardzo drobnym, objawem stosunków, jakie z dawnych jeszcze czasów pozostały pomiędzy obywatelami wiejskimi a włościanami.

Przypatrzmy się tylko niektórym powierzchownym tych stosunków cechom. Takeśmy do nich przez długie używanie przywykli, że wydają się nam zwyczajne, z koniecznego toku rzeczy wypływające. I kogóż z nas zadziwi, że włościanin lub jego żona, zbliżywszy się do obywatela, pochyli się z czapką do jego nog, albo pocałuje go w rękę? wszak to jest zwykły ich pokłon. Nietyle też to razi, jeżeli się stosuje do ludzi starych, których sam wiek nakazuje poszanowanie; ale młodzieniaszki, dzieci nawet stają się przedmiotem takichże samych oznak służalstwa i wezwyczajają się do nich tak, iż to się dla nich staje jakby chlebem powszednim.

Wprawdzie wielu jest teraz włościan oczynszowanych; zewnętrzny jednak stosunek pomiędzy nimi a dziedzicami mniej więcej tenże sam pozostał, zwłaszcza kiedy idzie o interes jaki, o zadośćuczynienie prośbie. W umyśle włościan tkwi niewzruszenie myśl, że tylko największa powierzchowna uniżoność, posunięta do oznak niewolniczych prawie, potrafi im dobry skutek prośby wyjednać. Rzucają się tedy plackiem na ziemię, całują nogi, zaklinają się że po Bogu, dziedzic jest ich najlepszym opiekunem, ojcem, dobrodziejem. I większość obywateli tak się przyzwyczaiła do tego, że owo upodlenie natury ludzkiej żadnego już na nich wrażenia nie czyni. I gdybyż te wszystkie oznaki były szczerze, gdybyż ten stosunek *patryarchalny*, jak go nazywają niektórzy, czerpał swoje źródło w prawdzie, w głębi miłości serdecznej. Ale tak nie jest, ani z jednej, ani z drugiej strony. Włościanin wszystkie te swoje obietnice, zakłęcia, oznaki uszanowania ma tylko na ustach; oprócz rzadkich wyjątków, nie miłość, tylko czasem potrzeba, czasem strach stanowią spójnię pomiędzy nim a dziedzicem.

Wiem dobrze iż znajdują się tacy, którzy powstaną na mnie za to co tu wyrzekł. Powiedzą że przedstawiam zupełnie fałszywy stan rzeczy, że tak nie jest, że stosunek pomiędzy dziedzicem a włościaninem inaczej zupełnie uważać trzeba. I nie wątpię, że ludzie ci twierdzić to będą w dobrej wierze. Ale są to wszystko tacy, którzy życząc sobie czegoś serdecznie, doszli nareszcie do tego przekonania, że życzenie ich jest już urzeczywistnione, że to czego by szczerze pragnęli, istnieje. Niechaj jednak głębiej wejrzą w stan rzeczy, a przekonają się że się mylą. Niechaj nie sądzą po pojedynczych przykładach rozgłaszanych przez pisma publiczne, ale niechaj czerpią swoje przekonanie z dokładnego zbadania stanu ogółu.

Owóż trzeba przedewszystkiem dojść do tego, żeby obywatel wiejski, gość jego, przyjaciel, znajomy, słowem każdy co nosi surdut i cieńszą trochę bieliznę, nie był dla włościanina osobą obcą, przed którą zdaleka czapkuje, a którą w głębi duszy uważa za pewien rodzaj wstrętnej i zawsze złe dla siebie usposobionej istoty. Trzeba żeby wglądając nawet w to co im się zdaje drobnostką, obywatele wiejscy postarali się o zmianę stosunków powierzchownych.

Nie tolerować oznak poniżających, nie wymagać ich od włościan, a ustanać same z siebie. Czyż pan A. albo Z. myśli, że przechadzając się albo przejeżdżając przez wieś, kiedy każdy chłop przed nim czapkuje, a on pozostaje z głową nakrytą i żadnym nawet skinieniem głowy nie odpowie na ukłon, który mu się wydaje rzeczą konieczną, — czyż myśli że włościanie nie poznają się wtedy na tém, że dziedzic upokarza ich, uposledza, odpycha od siebie, jako ludzi niezasługujących nawet na najdrobniejsze odznaczenie towarzyskie? Wszak widzą, że ci sami panowie potrafią zdjąć czapkę, żeby się odklonić swoim sąsiadom, księżdu proboszczowi, albo handlarzowi przybytemu za kupnem zboża. A przytém panowie tak postępujący uwłaczają sami sobie: niebrak na to przekonywających przykładów. Kawaler William, gubernator Wirginii, przechadzając się raz z jednym ze swoich przyjaciół, spotkał biednego Murzyna, który skłonił mu się uniżenie. Gubernator zdiął jaknajgrzeczniej kapelus przed Murzynem.

— Jakto, zawołał jego towarzysz — wasza ekscellen-cya klaniasz się prostemu Murzynowi?

— Cóż w tém dziwnego? odpowiedział gubernator; za nic w świecie nie chciałbym żeby prosty Murzyn okazał się grzeczniejszym odemnie.

Niechby ta odpowiedź znakomitego Anglika stała się nauką dla wielu.

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

6 lutego.

Obrady senatu francuzkiego nad adresem do cesarza ukończone zostały. Monitor donosi, że w dniu 4 lutego cesarz Napoleon przyjmował deputacją adresową w wielkiej sali tronowej. Po odczytaniu adresu przez p. Troplong prezesa senatu, Napoleon III wyraził swe zadowolenie i wdzięczność w kilku słowach przyjętych gorącymi okrzykami. W czasie obrad, mowa p. Thouvenel b. ministra spraw zagranicznych najsilniejsze uczyniła wrażenie. Książę Napoleon, jakkolwiek przytomny rozprawom, nie zabierał wcale głosu. Z tém wszystkiem przy zbieraniu głosów, które jednomyślnie przemawiały za przyjęciem adresu, książę uważał za stosowne udzielić przeczące veto. Zauważano także, iż książę Napoleon nie był obecnym przy uroczystym odczytaniu adresu w Tuileryach. Na posiedzeniu tajnym ciała prawodawczego, w dniu 30 stycznia, prezes książę de Morny zakomunikował projekt adresu, mało różniący się od senatorskiego. Oppozycja w osobach pp. Favre, Olivier, Damiron, Henon i Curé, oraz znakomitsi przywódcy prawej strony, szykują się do wystąpienia z różnemi poprawkami we wszystkich kwestiach żywotnych.

Z Meksyku wiadomości nie brzmią pomyślnie. Już przed kilku dniami Monitor ogłosił raport generała Forey, z którego pokazuje się, że do końca zeszłego roku Francuzi zmuszeni byli pozostawać bezczynnie w Orizaba, gromadząc żywność i wyczekując posiłków z Vera-Cruz. Obecnie dowiadujemy się że źródła amerykańskich, że żołnierze cierpią wiele od klimatu, który dziesiątkuje żółtą febrą armię i marynarkę. Krążą pogłoski, że generał Forey podstąpił pod Pueblę i przygotowuje się do szturm na to miasto, o wzięciu którego fałszywe w zeszłym tygodniu obiegały wieści. W Puebli stać ma trzydzieści i pięć tysięcy Meksykanów dobrze uzbrojonych, pod zastłą 200 dział, rozprawa więc może być krwawą, a rezultat jej niekoniecznie pewnym. Patrie z tém wszystkiem nie traci otuchy i sądzi, że tryumf armii francuzkiej jest niewątpliwym i blizkim.

W dniu 5 b. m. nastąpiło otwarcie posiedzeń parlamentu angielskiego. Pierwszy to raz książę Wallii, następca tronu Wielkiej Brytanii, zająć ma krzesło w izbie lordów. Dzienniki utrzymują, że okoliczność ta przyczyni się do utrzymania przy sterze rządu obecnego gabinetu, zwyczajnie bowiem parlamentarne w Anglii sprzeciwiają się wszelkim sporom na takim posiedzeniu, na którym po raz pierwszy następca tronu zasiada. Małżeństwo księcia Wallii z księżniczką Aleksandrą duńską, wyznaczone na dzień 12 marca, ma być przyspieszone, z powodu niebezpiecznego stanu zdrowia księżniczki Alicyi. Zatargi między rządami angielskim i brazylijskim w sprawie rozbitych i zrabowanych okrętów, zakończą się prawdopodobnie polubownym sądem króla Leopolda belgij-

skiego. Pogłoski o przyjęciu lub odrzuceniu korony greckiej przez księcia koburgskiego, nie mają dotąd żadnej urzędowej podstawy.

Adress izby poselskiej w Berlinie przyjętym został przez monarchę. Nord. All. Ztg. donosi, że odpowiedź na ten adress daną będzie w postaci dekretu podpisanego przez ministra stanu. W izbie wyższej przedstawiono wniosek poparty przez 50 członków, o złożenie adresu panów, w duchu przeciwnym adreśowi izby deputowanych. Kommissya budżetowa izby poselskiej, większością głosów przyjęła rezolucyą Forckenbecka, aby izba przystąpiła do rozpoznania budżetu na rok 1863 i wydała stosowną w tym przedmiocie uchwałę. W dniu 3 b. m. król przybył na uroczystość wolnych strzelców i podziękował im, że poszli ochotnie za głosem swego monarchy.

Wiadomości z Nowego-Yorku dochodzą do dnia 24 z. m. Generał Burnside oświadczył swęj armii, że zada stanowczy cios separatystom. Są to jednak tylko obietnice, wiadomo bowiem, że panujące w tej porze roku dżdże nie pozwolą armii przejść przez Rappahannock, w skutek czego zmuszona będzie cofnąć się na dawne stanowiska. Separatysci ufortyfikowali wzgórze pod Fredericksburgiem. Generał federalny Grant opuścił Memphis, z zamiarem powtórzonego napadu na Vicksburg. W senacie waszyngtonskim stawiono wniosek, aby prezydent Lincoln zawezwał rząd francuzki do wycofania swych wojsk z Meksyku. Wielu deputowanych żądało, aby w razie odmownej odpowiedzi gabinetu francuzkiego, prezydent udzielił Meksykanom pomoc w ludziach i pieniądzech. Sądzą że wystąpienie to jest prostym manewrem, w celu odwiedzenia Francyi od zamiaru uznania niepodległości stanów oderwanych.

(Ind. Bel., Jour. des Deb., Patrie, Schles. Ztg.)

Ostatnie depesze. Koburg 4 lutego. Dzisiejsza Koburger Ztg. potwierdza urzędownie, że książę Ernest ostatecznie odmówił przyjęcia tronu greckiego. Dziennik ten przyrzeka dalsze objaśnienia względem układów które poprzedziły tę decyzję.

Tryest 3 lutego. Według wiadomości z Korfu, dowódca angielski wydał rozkaz przerwania robót fortyfikacyjnych.

Wiedeń 2 lutego. W nocy wystosowanej do mocearstw, książę czarnogórski oskarża Portę, że nie dostrzegła świeżo uczynionych obietnic, lekając się zawikłań.

Machiny rachunkowe. Gazeta Warszawska mówiąc o uczynionej w Gazecie Polskiej wzmiance o machinie rachunkowej p. Thomas, (Nr. 17) dopełnia wiadomość tę wymienieniem kilku jeszcze oprócz Abrahama Stern'a Polaków, którzy pracowali nad rozwiązaniem tego zadania.

Cytuje oprócz Abrahama Stern'a Wyrozińskiego (1824 r.). Słomińskiego (1840 r.) J. Baranowskiego z Paryża, którego machina używana była w fabryce machin na Solcu, przy obliczaniu płacy robotników, wreszcie Izraela Abr. Sztaffla z Warszawy.

O machinie Sztaffla obszerniej podaje wiadomość. Wykonana ona była w Warszawie przed laty dwudziestą, i w r. 1845 była na wystawie warszawskiej, w roku następnym okazywano ją akademii nauk w Petersburgu. Ilustracya tamtejsza 1846 roku dała jej rysunek.

Machina ta była później obok innej p. Thomas de Colmar, wystawiona w Londynie r. 1851. Raport przyznał jej nawet nad tamtą pierwszeństwo. Bank polski zamówił jej kilkę egzemplarzy, ale p. Sztaffel nie posiadając odpowiedniego kapitału, nie wykonał ich, zająwszy się budową ventilatorów własnego pomysłu w szpitalu św. Ducha, z rozporządzenia komisji spraw wewnętrznych.

Nie dowiadujemy się rzeczy najważniejszej z tego artykułu, to jest ceny maszyny i rozciągłości cyfr, z którymi ona rachunek wykonać pozwala. Cena i prostota tego rodzaju przyrządów będą zawsze najważniejszemi do rozpowszechnienia ich środkami. Machina zbyt skomplikowana i droga, pozostanie wynalazkiem ciekawym, bez możliwego zastosowania na szerszą skalę. P. Thomas właśnie odznacza się tém, że jego rachunkowa machina, jest niewielkiej objętości i niezbyt wysokiej ceny.

SIELANKA.

(WYJĄTEK Z MOICH STUDYÓW)

Nad ubogą palestyńską ziemią zajaśniała gwiazda zbawienia, i w Betleem narodziło się dzieciątko pod słomianą strzechą. Ubóstwo dokoła, sianem wysłana kołyska niemowlęcia, bydelko radosnym głosem oddaje hołd odrodzonej naturze, pasterze weselęj dmy w swe fujarki, matka-dziewica grubym rańtuchem osłania świętego syna, królowie gną kolana i w prochu stajenki walają swe purpurowe szaty;—na niebie jasność, śród konającego świata trwoga, a śród ptasząt wesele i radosny szczebiot: to pierwsza sielanka

Idą tłumy młodzieńców i dziewic w białych szatach na stosy gorejące; z weselem w duszy stają w pogańskiej arenie, bez trwogi oddają się na pastwę srogich zwierząt i sroższych jeszcze ludzi: konają i błogosławią tym, którzy ich umęczyli. Takie zwycięstwo, taka wytrwałość w obronie swej wiary, taki uśmiech przy skonaniu—to sielanka święta, niebieska, to sielanka, którą kiedyś wszystkie ludy powitają jednym akordem.

Całe potem wieki średnie, to wieki szukania i oblędu. Nareszcie duch się poczuł, że i ciałem gardzić mu niewolno, zaczął szukać między sobą a niemi harmonii i rozwinęły się wieki następne, w których dramat, tragedia, to przedświły ostatecznej sielanki. Zjawił się potem największy sielankarz, który ogło-

lankarzy, a Niemcy przeszli wszystkich pod względem obfitości wyrobu i wyrobników przy tym pajęczym warsztacie. Nie dalibyśmy sobie rady, chcąc wypisywać wszystkie utwory w tym rodzaju, a gdyby i to nam się udało, nie dojrzelibyśmy żadnej w tej pracy korzyści. Takie pieśni sielankowe dobre dla dzieci, dla rozrywki styranym umysłom, dla starców garnących się do kominka i bezmyślnego spoczynku, wreszcie dla dusz które nagle tracą hart i wiarę w swą gwiazdę—boć i wielki Napoleon miał chwile, w których pragnął ustronia Malmaison.

I w naszych narodowych wieszcach znajdujemy pogodę duszy, wśród obaw o przyszłość; ale czyż dlatego i naszych sielankarzy z XVI wieku mamy zaliczyć do rzędu tych ekliwych śpiewaków, o których nie albo



SIELANKARZE POLSCY. (Rysował na drzewie Polkowski).

nowego zwrotu ludzkości, to pierwsza chwila zupełnego szczęścia dla odrodzonego świata.

Niezdługo pieśń pasterzy rozplynęła się po całej ziemi, niezdługo ubóstwo i żłobek były czczone od wszystkich ludów, i przed słomianą strzechą straciły blask pałace Rzymu, przed niewinną pieśnią prostego ludu zamarły uroczyste śpiewy ukwieconej Grecji. Chrześcijańska sielanka zapowiada narodom lepszy żywot, wróży przyszłość szczęśliwą, anielską, do której iść trzeba po cierniach, z tłoczącym krzyżem na ramieniu.

Na tej samej ziemi gdzie żłobek betleemski, wznosi się niezdługo krzyż Golgoty; okok wesela pod słomianą strzechą, słyhać szyderstwa siepaczy, obok kołębki dziecięcia, wyrósł krzyż męczeński—sielanka zbratała się z krwawym dramatem.

sił Heloizę i Emila. Lud przyklaskiwał malignie wielkiego serca i sielanka pogańska zawładnęła narodem, a w miejsce błogiego spokoju, którego wszyscy teraz szukali, zrodziło się znowu szyderstwo i znowu w jednej ręce pieszczono grecką różę, a w drugiej ścisłano miecz okrwawiony. Lecz Bóg czuwał i lud powrócił na rozszerzone drogi, prowadzące do doskonałej harmonii.

W obec chrześcijańskiego, idealnego pojęcia sielanki, o mdłych i wiecznie łzawych śpiewkach mówić niewarto; najniższy to służa w sferze poezji, który walczy czułością dziecka, tęsknotą dziewczęcia, nie mając siły męża, ani odwagi chrześcijanina. Literatura każdego narodu ma gromady tych ekliwych sie-

bardzo mało jest do powiedzenia? Bynajmniej; należą oni do narodowych mędrców i poetów, a odrzuciwszy co jest w nich naśladowaniem starożytności, znajdziemy w każdej niemal myśli tęsknotę obok proactwa, miłość obok ofiary na rzecz swojego ludu.

Gruppa w której pomieściliśmy Zimorowicza, Szymonowicza, Gawinśkiego i Klonowicza, nie jest ani pełną, ani wyłączną grupą sielankarzy XVI wieku; owszem, gdybyśmy sielankarza sądzili z pieśni podobnie zatytułowanej, Klonowicz nie miałby w tej grupie miejsca, a Kochanowski, jako twórca Sobótek, konieczniaby tu znajdować się powinien. Wszyscy oni są dziećmi i wieszczami XVI stulecia, tylko Zimorowicz wybiegł za wiek Zygmunta, bo żył na początku XVIIgo. Razem wzięci stają oni w pamięci pokoleń jako śpiewacy tego, co Górnicki, Opaliński, Skarga,

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).

Birkowski, w kazaniach, rozprawach i satyrach, zapałem niezmordowanym ścigali.

Najwięcej cofnięty w wiek XVI jest w tej grupie Klonowicz—urodzony r. 1551 w Sulmierzycach nad granicą szlaską, umarł r. 1608 w Lublinie u św. Łazarza:—najwyższy jako malarz-poeta, jest młody Zimorowicz, a Szymonowicz zręcznością i czystością języka staje obok Kochanowskiego; Gawiński zaś, o którym prawie nic nie pozostało dla biografa, jest odbiciem swych towarzyszy, jakby wspomnieniem mile przypominającym to co się kiedyś ukochało.

Klonowicz, nieszlachcic z urodzenia, a szlacheckich dążeń, obdarzony bawczym zmysłem, jasno, krytycznie i drobniawo widział wszystkie rany swego kraju, widział ku jakiej przepaści pędzi Rzeczpospolitą swawola i egoizm szlachty. Lecz właśnie ta zdolność krytyczna zabija w nim poetycką węgę, ta żółć rozlana w duszy nie pozwala uśmiechnąć się ani na chwilę. W swych poezjach jest najczęściej obywatelem gromiącym, szydzącym i napominającym bez ustanku. Poeta uczony, obeznany z wzorami starożytności, nie dał się uwieść powabom pieśni greckiej, raczej przejął się rzymskimi rymotwórcami, odrzucił powiewną szatę i przywdział stalowy pancerz, w którym przeciwko szlachcie odważnie nastawał. Napisał bardzo wiele poematów, po polsku i po łacinie; najpoczytniejszy z nich, *Flis*, jest zbiorem obrazów, encyklopedycznych wiadomości, morałów i gminnych powieści. Tu poeta usiłował nieraz być swobodnym w swym polocie, lecz nigdy z pełną wiarą i uśmiechem nie spojrział w przyszłość: obecna chwila kamieniem ciężła mu na piersi. Jakże jest daleko po za swymi towarzyszami, gdy opiewa piękność polskiej ziemi we *Flisie* lub w *Roksolanii*:

Lecz miła Polska na żyznym zagonie
Zasiadła, jako u Boga na łonie.
Może nie wiedzieć Polak co to morze,
Gdy pilnie orze.

Tu gumna w szczyrych polach stoją hojnie,
Tu wzór bogaty, tu żniwa spokojne,
Tu chłopek wesół, bo pewnie ma wszystko,
Kiedy ma żytko.

Jest to prawda, lecz prawda ujęta w wiersz rymowany, bez żadnego natchnienia. Gdy narzeka na los chłopków, widać że sam dźwiga jarzmo niewoli, że nie ma nadziei z niego się otrząsnąć.

Za to w swą wielką satyrę p. n. *Worek Judaszów*, pokazał całą dzielność zranionej duszy, rzuca się na wszystko co podle, na wszystkich co kradną ręką, kłamią sercem, zdradzają słowem. Również w łacińskim poemacie *Zwycięstwo Bogów* widać obywatela kraju, który z nieustraszoną odwagą gromi i łaje szlacheckie bisurmanstwo. W innych poematach, jak *Pożar wojny tureckiej*, widzimy też samą gorliwość, też samą gorę, lecz mało pogodnej wiary i nadziei, nic prawie poetyckiego polotu. Urodzenie Klonowicza, jego położenie społeczne, świat otaczający i ciągła z nim walka, jasno tłumaczą wszystkie te zalety i wady.

Równoczesny z Klonowiczem jest Szymon Szymonowicz. Urodził się we Lwowie roku 1557, umarł roku 1629, pochowany w Zamościu. Innego to polotu, innego kroju poeta, jak i inne a szczególniejsze są drogi jego żywota. Wyształcony wszechstronnie, nigdy nie walczył z potrzebami codziennego życia; widział wady społeczne, bo w swych pismach na nie narzeka, lecz od razu przytulony do łoku Jana Zamojskiego,

zaszczycony jego przyjaźnią i względami, musiał mieć nadzieję, że złe jakie dziś jest, przerodzić się może w dobre, bo opierał się o filar, który zdolen

nym smakiem artysty chrześcijańskiego, jest polot ku niebu, bo chwila obecna nie zatrzymała mu dni wszystkich; od szlachty, chociaż sam nobilitowany dopiero za Zygmunta III, jako przyjaciel hetmana i kanclerza, doznawał szacunku, nie widział więc w niej samego zła i cieszył się przyszłym pokoleniem, bo w duszy młodego Tomasza, syna Jana, szczepił miłość ojczyzny i karność obywatela.

Błądząc po polach wśród wesółych trzód i pasterzy, boleje nad losem ludu i smuci się z nim razem:

Już południe przychodzi, a my jeszcze
[zniemy;
Czy tego chce urzędnik, że tu pomdlejemy?
Głodnemu, jako żywo, syty nie wygodzi,
On nad nami z maczugą pokręcając
[chodzi,
A nie wie jak to ciężko z sierpem po
[zagonie.

Słoneczko, śliczne oko, dnia oko pięknego!
Nie jesteś ty zwyczajów starosty naszego.
Ciebie czasem pochmurne obłoki zasłonią,
Ale je prędko wiatry pogodne rozgonią;
A naszemu staroście nie patrz w oczy
[śmiele,
Zawsze u niego chmura i koziół na czele.
Ty roś hojną dajesz porankiem wsta-
[wając,
I drugą także dajesz, w wieczór zapadając.

Pięknie się nam przedstawia wieszcz, gdy posłowie Klemensa VIII stają w jego ubogim szlacheckim dworku i ofiarują mu w imieniu pana swego wieniec poetycki. Coś z rycerzy Rzymu Szymonowicz w sobie zatrzymał: gdy wojenna trąba zagrała, brał zbroję i towarzyszył wodzowi, a po wyprawie wracał w progi wiejskiego ustronia i miał się pluga, piórem sławiąc powaby czarnej roli i siniego nieba.

Najmłodszy z nich wiekiem, a najpotężniejszy natchnieniem, jest Szymon Zimorowicz, zmarły w 24 roku życia swego. Silna jego dusza tyle umiłowala rodzinną ziemię, że pomimo zaprawiania się na wzorach starożytnych pisarzy, pomimo uwielbienia dla swego sąsiada Szymonowicza, pomimo niektórych utworów greckiego pokroju, jest wszędzie narodowym, natchnionym pięknością swą ziemi poety. Niewolny od trosk codziennego życia, lekceważy jednak trudy około doczesnego dobra, nie upada pod ciężarem powszednich obowiązków, nie bruka szaty w walec o chleb i byt. Oddany nauce, zdala od życia publicznego, od panów, ani jednym słowem pochlebstwa ust swych nie skaził; młody, rozmiłowany w naturze, rwący się do świata, którego jeszcze dobrze nie znał, przewiduje śmierć bliską, wie o weselu brata, grób i ślubny ołtarz naprzemiany w snach swych widzi—a jednak niema gorczy w jego piersi, tylko chrześcijańskie poddanie się Bogu i wiara w lepsze losy tam za grobem. Jest to jedna z najczystszych dusz w liczbie narodowych naszych wieszczów.

Najlepiej sam się maluje w *Roksolaniach*, gdy mówi:

Ja śpiewam nie wedle świata,
Za fraszkę u mnie majętność bogata,
Fraszka urodzajne włości,
I nieprzejrzane okiem majętności.
Niech drudzy, łakomi zysku,
Szukają z biednych poddanych ucisku,
Niechaj nędznych ludzi pracą
Nienasycone szkatuły bogactwa,
Zbiórą srebro blade z złotem,
Ubogich kmiotków napojone potem;
Będą mieć szkarłatny tkane,
Krwia robotników młodych zafarbowane.



Nr. 51.

Wiek XVI. Trefniś nadworny bawiący się z pieskiem, w sukni z kapturem, z uszami długimi, do których są przyszyte szele (dzwonki okrągłe); przy butach równie uszy; sukni strona prawa żółta, lewa czerwona.

był podeprzeć pekające ściany Rzeczypospolitej. Klonowicz patrzył na szlachtę i lękał się jej swawoli; Szymonowicz patrzył na króla Stefana i jego prawe



Nr. 52

Wiek XVI. Szlachta zebrana w sali; na głowach różnego kroju czapki i zawoje; żupany z góry obcisłe, na rząd guzików zapinane, od pasa gęsto fałdowane; przy bokach miecze; buty skórzane i sukienne, z rozcięciami na palcach; kolory różne. (Rysunki wzięte z księgi rodu Szydłowieckich. (Liber Geneseos illustris familiae Szydłowiciae).

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA SZTUK PIĘKNYCH.

MALARSTWO.

(Dokończenie).

Ja nic nie dbam o pacholki,
Ani o pańskich dygnitarzów stolki,
Czołem za cześć, komu zda się,
Niechaj się nędzą drobnych ludzi pasie.

A jaki znów wdzięk przedziwny, jaka naiwność
w tych wierszach:

Dobranoc trzykroć ukochany,
Dobranoc wianieczku różany!
Żegnam się z tobą, żegnam ostatecznie,
Dobranoc miewaj, dobranoc miej wiecznie!

Równocześnie z bólem, opisuje klęski owej nie-
szczęśliwej, choć bogatej, mlekiem i miodem płynącej
Rusi, ciągle traktowanej kopytami tatarskich zagonów.
W *Kozaczyźnie* potężnie maluje nieszczęścia tej krainy:

Gdzie przedtem stały karczmy, folwarki, wsie ludne,
Teraz wszystko pokryły popioły popudne.
Gdzie one pyszne dwory, niedobrye grody?
Gdzie słomiane chałupy i wiejskie zagrody?
Poszły z dymem do nieba, zginęło Podole
Nasiadłe, tylko z niego niebo dziś a pole.

Gawiński wreszcie mniej ma siły jak jego towa-
rzysze, mniej albo i wcale nie jest wróżbitą przyszłych
losów, lecz pod względem swobody, uśmiechu i mo-
tyłowego polotu im wyrównywa, dowcipem zaś wszyst-
kich przechodzi. Widać w nim styranego filozofa, co
to sobie powiedział: Bóg rządzi światem, co nam tam
wdawać się w te sprawy. I śpiewał sobie z obojęt-
ną wiarą, wyczekując aż ktoś wygoi rany ojczyzny.
Zresztą sam to wyznaje w wierszu do jegomości pana
Biankiego.

Prześlicznie i zręcznie prowadzi porównanie pomię-
dzy bogatym pałacem, a skromnym lecz miłym dwor-
kiem szlacheckim. Wsią lubuje się z wdziękiem:

We wsi domek poziomy, z niewyniosłym szczytem,
I mieszkaniem wesołym i szczęśliwym bytem
Pana swego obdarza; pokoiczek mały
Za gmach wielki mu stanie i za zamek cały.
Miasto drogich szpalerów, po ścianach zatkniony
Z wonnemi kwiateczkami wisi maj zielony;
Po ziemi i po stole świeci się rozsuta
Róża, goździk, barwinek i zielona ruta....

Przykłady iskrzącego dowcipu, śmiałej satyry i jędr-
ności języka są w nim tak liczne, że niemal wszyst-
kie zasługiwałyby na przytoczenie; niejedną z dzisiej-
szych pierwszorzędnych poetów nielepięć od niego
władę pańską mową.

Widzimy więc że sielanka znalazła u nas godnych
przedstawicieli. Sielankarze nasi stali na przełomie
dwóch epok: po za sobą mieli najpiękniejsze wspo-
mnienia, przed sobą straszne przecucia.

Do XVI wieku mało gdzie lud wprzęgnięty w jarz-
mo pańszczyzny, owszem obdarzany różnemi prawami,
nadaniami, opłacał się czynszem; dopiero w tym
wieku prawo magdeburskie zaczęło być usuwanem i
konstytucya z r. 1563, na wymaganie właścicieli co-
raz większych pól, świeżo i bez ustanku karczowa-
nych, stanowczo wprowadza pańszczyznę. A więc lud
traci wolność i godność posiadacza-czynszownika, i
niedługo, dla osobistych widoków szlachty, konstytucye
zabroniły nawet ludziom najemnym opuszczać podczas
żniw majątności czasowego pana. System czynszowy
z systemem pańszczyźnianym stanowczą w tym wie-
ku stacza walkę, a w drugiej połowie XVII ten osta-
tni bierze górę i lud zalicza w inwentarz. Poeci na-
si to przewidzieli....

Gdy taką przyszłość mieli przed sobą, musieli tę-
sknić za minionemi czasami, w których był lud z pra-
wem, była Chrystusa rodzina. Serdeczne przywiąza-
nie do roli widzimy jaknajdawniej; szlachcic bez ro-
li nie miał żadnego znaczenia, wszystkie prawa po-
lityczne miały za podstawę posiadanie ziemi; życie
pasterskie było niemal w biblijnym obrazie rozwinię-
te i z tego czasu mamy piękny zabytek w wyznacza-
niu, z wolą prawa, kilku łanów dla pasterza trzód;
stada nieprzeliczone na bezgranicznych stepach, bari-
nictwo tak rozwinięte, że statut jego wiślicki wziął
je w opiekę. Podole i Ruś, to ziemie nie na żarty
mlekiem i miodem płynące. Koroną zaś tego wszyst-
kiego była wiara, jakiej żaden inny naród nie posia-
dał, jaką z całą ziemią sami królowie głośno i pi-
śmiennie wyznawali: że *dominium universale* tylko
Bogu się należy.

Władysław Maleszewski.

Pan Zarzecki, w przedmiotach religijnych dotąd się
odznaczający i posiadający nader rzadkie u nas poję-
cie stylu religijnego, dał nam obecnie *Matkę Najświęt-
szą*, z rękoma na piersi w krzyż złożonemi i okiem
wzniesionem w niebo, słowem Matkę Boską modlącą
się. Popiersie to naturalnej wielkości, wypieszczone i
delikatne, całą swoją stroną zewnętrzną rwie się ku
światom wyższym. Ten owal delikatny, ta cera eter-
yczna, to oko jasne, dopomina się wyraźnie o iskrę
z nieba; ale iskra z nieba nie spadła na ten raz na
artystę, nie rozgorzała w jego sercu, i pomimo wszel-
kich danych, obraz został na stanowisku silenia się
artystycznego do wydobycia religijnej myśli, do ozna-
czenia charakteru chwili. *Gwiazda zaranna* uderzyła
nas świeżością, sprawiła wrażenie jakoby pierwszego
ciepłego tchnienia wiosny; *Chrystus prowadzony do
Piłata* był smutny i myślący, a po tych dwóch dzie-
łach mieliśmy prawo wymagać coraz jaśniejszego, co-
raz wybitniejszego oddania charakteru świętości, uczu-
cia i myśli jasnej, wiedzącej o sobie; a p. Zarzecki
nie dał nam w popiersiu Matki Najświętszej nic wię-
cej, prócz tegoż samego nieuchwytnego powiewu re-
ligijności. Artysta powinien się mieć na baczności prze-
ciw mętnemu spirytualizmowi, zarówno zgubnemu jak
część dla formy. Rozmiłowanie się w naturze, rosko-
szowanie się w niej, tak dziś powszechne, jest ma-
cierzą i podstawą zarówno abstrakcyjnego jak formal-
nego kierunku, z tą tylko różnicą, że jedni biorą od
natury kształt, drudzy dźwięk lub woń; ale jedno jak
drugie odwołuje człowieka od zgłębienia własnej isto-
ty, od życia wewnętrznego i sprowadza albo uwiel-
bienie i uczczenie formy, albo usiłowanie nadania
kształtów widomym poczuciu. Jedno i drugie osłabia
potęgę duchową, zaciera indywidualność i sprawia, że
człowiek tracąc poczucie swego ja, tworzy dzieła nie
na obraz i podobieństwo własnego ducha, ale odbija
przedmioty jak zwierciadło wody, albo wydaje z sie-
bie woń nakształt kwiatu. Woń ta podrażnia mi-
le zmysły, ale przedłużone jej użycie sprowadza nie-
moc i apatję. Człowiek wpatrzony w świat zewne-
trzny i od świata stworzonego rozwiązania zagadnień
sztuki i tajemnic ducha wyglądający, zagradza sobie
drogę do rzeczywistej twórczości.

Do malarzy pracujących i kształcących się ciągle i
dodatnio na polu historycznym, których dzieła zasilają
wystawę krajową, należą: pp. Simmler, Matejko i
w części Kossak.

Pan Simmler jest uczniem szkoły monachijskiej,
opartej na tradycjach starej niemieckiej szkoły, dziś
już cokolwiek przygluszonej abstrakcyjno-filozoficznym
wpływem. Powaga w kształtach i ruchach, wstrze-
mięźliwość w kolorystyce, surowość i jasność w myśli,
są głównymi przymiotami tej szkoły, przymiotami któ-
re, obok poprawnego rysunku, wyniósł z niej także
p. Simmler. Przymioty te pojawiają się już w *Dawidzie
grającym na harfie*, w *św. Janie na puszcy*,
w *św. Cecylii przy organach*, w *Złożeniu do grobu
Chrystusa* i znacznej liczbie pomniejszych prac, nale-
żących do pierwszej fazy życia artystycznego p. Simm-
lera, fazy w połowie dopiero samodzielnej. Pan Simm-
ler stroną swą artystyczną należy do natur twar-
dych, powoli się rozwijających. Zwolna wciąga on
w siebie pierwiastki rodzinne i wpływy zewnętrzne,
zwolna, stopniowo, dobiya się duchowej wiedzy. W je-
go talencie niema przejmujących jasnością błysków,
namiętnych uczuć, fantastycznych porywów. Metody-
czny i wytrwały, idzie z wolna, z okiem wlepionem
w rzucony przez siebie cel, bada, usuwa przeszkody,
kreśli, maże, znów kreśli, wyjaśnia, i... i dochodzi
do celu. U p. Simmlera niema, i nie może być nie-
spodzianek; obraz mierny nie zjawi się tuż za obra-
zem pełnym znaczenia i myśli; przypadek raz na za-
wsze poprzestał rządzić w zakresie jego życia artysty-
cznego; namysł zrósł się z fantazją, a ta wszechwła-
dna i często kapryśna pani, bez jego współdziałania
nie uczyniła nie może. Ztąd wynika że jakiegokolwiek
przedmiotu dotknie się p. Simmler, zawsze go wyra-
zi jasno, odda z uczuciem i prawdą moralną. Wpraw-
dzie i on, jakkolwiek metodyczny i myślący, nie mo-
że się ustrzedz drobnych usterków; czasami, z braku
namiętniejszego żywiołu i gorących porywów, prawda
moralna niedosć dobitnie i energicznie w oczy widza
uderza; ale zawsze część nieśmiertelna, niepożyta sztuki,
duch, którego żadne zwierciadło, żadna polerowa-
na blaszka odbić nie zdoła, wygląda z jego dzieł i
świadczy o pracy wewnętrznej tego, co te obrazy
tworzy i te postacie wywołuje. Skutkiem powolnego
dojrzenia myśli, powaga jest głównym piętnem prac

p. Simmlera i wieje zarówno z *Katarzyny Jagiellonki*
i *Śmierci Barbary*, jak z *Wychowania Zygmunta*, po-
mimo tak wielkiej różnicy przedmiotów. W wycho-
waniu Zygmunta te wesołe dziewczęta, co wieniec
otoczyły młodzieńca, w ruchach, w postawie i wyra-
zie oblicza mają coś poważnego, jakby prawdziwe u-
czucie nurtowało ich serca; zalotność, traktowana tu
na seryo, straciła właściwy sobie podżegający wdzięk;
zdaje się iż swawolne dziecię miłości, wchodząc
w przybytek królewski, welon zadumy na figlarną swą
zarzuciło twarzyczkę. Postać jasnowłosej dziewczyny jest
piękną dla siebie samej, a cała grupa nie razi
nas swawolą uciechy zmysłowej, bo ani w królew-
czu, ani w otaczających go młodych niewiastach nie-
ma pożerającego ognia namiętności. Powaga przesła-
nia tu niebezpieczeństwo. Co się tyczy Bony, postać
ta tak jest majestatycznie zalotna, tak artystycznie
wdzięczna, że nie dziwimy się iż poważny Zygmunt
ulegał jej przewadze, a w obliczu Tarnowskiego, w ru-
chu rąk wskazującym grupę, widać jasno oburzenie
człowieka i żal obywatela. Dwa portrety kobiet, osta-
nie dzieła tego artysty, zalecają się wysoką warto-
ścią. Jedna spojrzaniem wita patrzącą, druga, z wy-
datniejszym charakterem, zda się szukać po za sobą
potwierdzenia zajmującej ją myśli. W pierwszej prze-
maga wdzięk, w drugiej inteligencja; oba portrety
malowane w wysokim stylu, oba charaktery jasne i
indywidualne.

Przebiegając tu życie artystyczne p. Simmlera, nie
możemy przemilczeć ważnej kwestyi jaką nam to ży-
cie nastroczyło, musimy wyrazić nasze życzenia i po-
trzeby rozwijającej się u nas sztuki. Pan Simmler
przeszedł pożądaną szkołę i głębokie studia, rysuje
i maluje napewno; p. Simmler jest metodyczny i ja-
sny, umie myśleć i czekać, umie śledzić głębie wła-
snej duszy, być przytomnym rozwojowi swemu arty-
stycznemu, jak o tem świadczy szereg przez niego
dokonanych dzieł; p. Simmler uczyć może i uczyć po-
winien. Powinien otworzyć u siebie pracownię, wska-
zać młodszemu drodze, podać środki, jak to czynili pra-
wie wszyscy mistrze epoki odrodzenia, jak to dziś
Włosi u siebie zaprowadzili; tém bardziej, tém ko-
nieczniej, że u nas niema sposobu wykształcenia się,
a wyjazdy za granicę, dla małej tylko liczby dostępne,
nie przynoszą i tak pożądanego owocu; z niewielkim bo-
wiem wyjątkiem kilku geniuszów, przyswiecających
światu i wskazujących mu drogę, szkoły zagraniczne,
zarażone formalizmem lub abstrakcyjnymi pojęciami,
niepłodne same w sobie, zażegnają budzącego się u nas
żywiołu artystycznego nie są w stanie. Od p. Simmle-
ra więc żądamy, w imię miłości sztuki tak mu dro-
giej, ażeby przysposobił téż sztuce dalszych jej przed-
stawicieli, zostawił dziedziców swęj pracy i wytrwa-
łości i wskazał im drogę do sławy. Zarówno rodzaj ta-
lentu, jak i usposobienie artystyczne, naznaczyły p.
Simmlera na kierownika.

Pan Matejko, autor *Otrucia Bony* i *Śmierci Wa-
powskiego*, dał nam obecnie *Jana Kaźmierzka na Bie-
lanach* w czasie pożaru Krakowa i *Jana Kochanow-
skiego w obec zmarłej Urszulki*. Pan Matejko kształcił
się w Krakowie, na dawnych pamiątkach i wzorach;
pojechał następnie do Niemiec, ale nie znajdując tam
żywiołów dla siebie, wrócił pośpiesznie do kraju i po-
święcił się malarstwu historycznemu. Pod jego pędzlem
odżyły dawne postacie szlachty, odziane w rzeczywiste
kształty przez p. Matejkę, i ukazały nam część tej wiel-
kości, tej wyniosłej ambicji, w obec której zdrobnia-
ły jeszcze bardziej drobne i tak namiętności. Ten spo-
kojny Tenczyński, ten splakany starzec niosący ska-
tule królewską, ten oburzony szlachcic po za królem
stojący, to postacie prawdziwie szlachetne, to ludzie
co stali o sobie, a nie grzeszyli czcym lamentem na
dawne czasy. Szlachcic oburzony nosi zarazem piętno
zgryzoty; on część złego na siebie przyjmuje i dlatego
tak odstaje od słabego charakteru króla i od kame-
duly, przedstawionej może nadto abstrakcyjnie.

Ręka idzie tu za myślą. Bona, Walezy, Jan Kaź-
mirz, namalowani są energicznie, szeroko; kolorysty-
czny, nietłumiony laserunkiem, oddaje w całej jaskra-
wości ówczesne stroje i ówczesne fizyognomie. W kom-
pozycji i układzie figur widoczny brak głębszego na-
mysłu, zwłaszcza w pierwszych dziełach; artysta śpie-
szy się z oddaniem widzeń co mu się tłoczą do du-
szy i tak stłoczone rzuca na płótno. Drugą wadą p.
Matejki jest brak jednności, odejmujący utworom jego
dramatyczność, brak węzła, co by te śliczne i mówią-
ce figury związał i do jednego celu skierował. Z tych
wad jednak artysta się poprawia i w obecnie przed-
stawionym *Janie Kochanowskim* kompozytorem, (wpraw-
dzie do szczupłego zakresu dwóch osób ściągnięta,
a zatem łatwiejsza), znakomicie jest lepszą. Kocha-
nowski, pochylony nad trumienką, obejmuje ciało dzie-
cinę i podnosi je ku sobie z tak wielkim uczuciem,
jakby to martwe ciało przytulaniem serdecznym o-

żyć, uczuciem ogrzać pragnął. Pewność śmierci i wiara w cud, skutek wielkiej miłości, walczą w duszy tego człowieka, co z takim drzeniem i boleścią zbliża się do umarłej. W głowach trumny widać ołtarzyk i obraz Matki Najświętszej, a paląca się przed nim kolorowa lampa, odbija się różowym polskim na czole dziecka, odejmując mu cokolwiek z zimna śmierci. Przez to rzucenie światła śmierć straciła swoją ohydę, ale tylko w kolorystyce; w rysunku bowiem śmierć zanadto widoczna i niedosyć idealna, nie odpowiada myśli chrześcijańskiej wiecznego w Bogu odpoczynku.

Oblicze męża jest myślące, głębokie i pełne uczucia, pomimo wielkiej powagi; nie wiemy wprawdzie czy Kochanowski, wzięwszy rzecz fizycznie, tak a nie inaczej wyglądał, ale wiemy że taki wyraz musiał mieć poeta owych czasów i twórca nieśmiertelnego trenu. To oblicze ma w sobie prawdę moralną i stawia p. Matejkę w rzędzie pierwszorzędnym polskich malarzy; temu obliczu możesz odjąć koloryt i całą dodatność leżącą w otoczeniu, a ono jeszcze mówić nie przestanie, nie przestanie wypowiadać wielkiej swej boleści i walki i zasług żywota swego, nie przestanie być figurą prawdziwie liryczną.

Wypowiedziawszy znaczenie duchowe obrazu, rozebrać jeszcze musimy zarzut jakoby plagiatu drugiego rzędu, czyli naśladowstwa, zrobiony p. Matejkę przez recenzenta krakowskiego, zarzut który wyczytaliśmy w N. 440 Tygodnika Ilustrowanego, oraz wartość zdań u nas obraz p. M. spotykających, pomawiających go o złe malowanie i wyszliznięcie się raczej, niż wyjście z tryumfem z zadania pod względem formalnym.

Plagiatem nazywamy po prostu wzięcie myśli jakiegoś autora, z jej ciałem i duchem, z jej stroną zewnętrzną i wewnętrzną i podanie jej za swoje; naśladowaniem, wzięciem myśli abstrakcyjnie, niezależnie od jej objawienia zewnętrznego, i ten ostatni zarzut spotkał właśnie p. Matejkę. Recenzent tak mówi: „Ileż dzieło sztuki, czy to pisane, malowane, rzeźbione, lub muzyczne, wywoła entuzjazm, można być pewnym, że zaraz znajdzie naśladowców, jednych wyżej wykształconych i rozumnych, co wezmą tylko temat, drugich niewolniczo wiernych, co się rzucą do przedrzeźniania przymiotów i sposobów mistrza. Do pierwszych należy P. Matejko.“

P. M. oskarżonym więc jest o naśladownictwo w temacie.

Wzięcie tematu nie może być uważanem za naśladownictwo, bo temata sztuki, jak: miłość, boleść, żal, rozpacz i wszystkie namiętności warunkiem i koniecznością podwójnej naszej natury duchowej i ziemskiej będące, a rozwijające się na tle życia, są zawsze jedne i te same, odwieczne i nieśmiertelne. W takich tematach zmiany być nie może i p. M. tematu śmierci i żalu człowieka, w obec tej konieczności niezblaganiej, nie wziął od p. Simmlera, bo i p. Simmler nie wymyślił go, nie wziął z siebie samego, ale ztamtąd, z kąd wszystko płynie. Kiedy więc tematów podobnych człowiek nie stwarza, ale je bierze z myśli bożej, więc tu pierwszeństwa nikt mieć nie może i nie ma. Co więcej, te myśli boże, nieśmiertelne i odwieczne, przechodząc w świat rzeczywisty, biorą na siebie również nieśmiertelne i odwieczne formy, albo w naturze rzeczy leżące, od których niewolno odstąpić człowiekowi, pod kąd że go nikt nie zrozumie, albo też niezmiennosć swoje formalną w religii czerpiące. Na tej zasadzie Rafael, Tycjan, Correggio, Michał Anioł, Murillo i t. d. malowali Matkę-dziewicę. Sąd ostateczny i złożenie Chrystusa do grobu przedstawiali wszyscy malarze średniowieczni, malarze odrodzenia i dzisiejsi; żal nad śmiercią ojca, brata, kochanki, przyjaciela, sztukmistrza wszystkich czasów i wieków, a żaden drugiego nie naśladował, jeżeli rzecz ze strony tematu czyli myśli weźmiemy, żaden drugiego nie naśladował, kiedy pod względem formy tworzył w granicach natury lub objawieniem zakreślonych. Pod względem więc samego tematu p. M. nie tylko Śmierć Urszuli, ale i Zgon Barbary mógł nam przedstawić, a plagiatu nie popełnić, naśladowcą nie zostać.

Na czemże jednak polega naśladownictwo, którego przecież istnienia zaprzeczyc nie można? Jakim sposobem odróżnić pierwowzory od dobrego ich odbicia?

Temata sztukmistrzowi podaje Bóg, sposób ich objawienia, czyli formę, świat, i na tych dwóch polach człowiek, jako istota stworzona, gra rolę bierną; ale jest trzecie pole, na którym człowiek panem i twórcą, a tęp polem jest duch jego osobisty. Sposób więc w jaki on, jako indywidualum, jako osoba, pojmując myśl bożą i kształty ziemskie, sposób w jaki odczuwa to co boskie, nieśmiertelne, co z ducha tak jak on poczęte, stanowić będzie prawdziwą twórczość, rzeczywiste natchnienie, jasnowidzenie artystyczne.

Na drodze przeto pojęcia i pocucia przedmiotu, a nie w samym przedmiocie, szukać możemy i znaleźć naśladownictwo lub oryginalność; natchnienie zaś, siła i doniosłość tego pocucia i pojęcia, naznaczą nam stopnie, ustanowi hierarchie pomiędzy artystami.

Na polu twórczości ludzkiej otworzonem, tak wielką jest niezależność człowieka, że artysta bądź z indywidualnego kaprysu, bądź skutkiem zakreślonej z góry religijnej formy, może tak samo ustawić figurę, a oryginalności dziełu swemu nie odejmuje, jeżeli tylko umiał na wzór Boga tchnąć w nie życiem własnym. Fausta Goethego, komedya boską Danta, odzwierciedlają naprzemiennie Niemcy i Francuzi, a nikomu na myśl nie przyszło Ary-Scheffera nazwać naśladowcą Goethego lub Danta, piekło stworzone przez Dantę uważać za materialne zwierciadło geniuszu Danta. U nas tylko, że zbyt porywczo a ztąd niedosć głęboko rzeczy bierzemy, przypadło Mickiewiczowi zostać naśladowcą niemieckiego poety, dlatego, tylko że Werter się zabija i Gustaw zabija, a Matejce naśladowcą Simmlera, dlatego że tu mąż płacze nad zgonem żony, a tam ojciec nad zgonem córki.

Że p. Simmler przedstawił zgon Barbary, to niktogo odstraszać nie powinno od przedstawienia dramatu śmierci, nawet w tych samych warunkach czasu i okoliczności; bo dzieło wtedy tylko jest naśladowaniem, kiedy go nie ożywia iskra rzeczywistego natchnienia; wtedy tylko jest odbiciem albo natury, albo drugiego mistrza, kiedy z niego nie prześwieśla osobiste pojęcie i pocucie przedmiotu. Nieobecność natchnienia nigdy ukryć się nie da i mało nawet wprawne oko dostrzeże ją jest w stanie; przeciwnie indywidualność duchową nie każdy dostrzeże, i był czas kiedy kopie brano za oryginały, a lekceważono dzieła Rafaela i Michała Anioła. (1) Ale dziś już coraz rzadziej te pomyłki mają miejsce, dziś znawca, wsparty doświadczeniem i nauką, w najlepszych kopiach mistrzów przez mistrzów dokonanych, od razu dostrzeże różnicę w pojęciu i pocuciu, chociaż myśl i przedmiot będą te same; kopie zaś przez talenta mierne dokonane, wykażą mu swoje pochodzenie przez uczucie i pojęcie mętne i z tego pierwotnego grzechu obmyć się chrztem formy nie zdołają.

O przejęciu się duchem mistrza w przekładach i kopiach, dużo już u nas mówiono; przejęcie się duchem w znaczeniu tylko ogólnem pojmujemy. Możemy naśladować lub odbić w duszy swojej to, co jest boskiego i niezmiennego; ale to co stanowi samą indywidualność, pozostanie zawsze tajemnicą niezbadaną, wyłącznym skarbem każdego, dowodem jego osobistości, oryginalnością rzeczywistą.

Ale właśnie tego pocucia i pojęcia indywidualnego recenzent nie śledził ani w Kochanowskim, ani w poprzednich dziełach p. Matejki, a pomieszawszy temat z jego oddaniem, Kochanowskiego policzył do dzieł naśladowczych. P. Simmler przedmioty swoje pojmując ze strony powagi i wdzięku; uczucia miarkowane są u niego rozwagą, stanowisko zapatrywania się ogólne. P. Matejko przeciwnie przedmioty widzi ze strony namiętności; postacie jego są silne i energiczne, a upędza się za życiem do tego stopnia, że nie śmie zbledzić oblicza konającego Wapowskiego, że zmarłej Urszule blask różowy rzuca na oblicze, a stoi nie na stanowisku ogólnem, ale na bardziej szczegółowym.

Przystępujemy teraz do ocenienia obrazu pod względem formalnym. Zarzut złego namalowania i użycia sztucznych sposobów w traktowaniu, równie jest niesłuszny jak zarzut plagiatu. P. Matejko malować umie, jak tego dowodzą poprzednie jego obrazy; w jego dotknięciu znać pewność, w kolorze często bogactwo, więc też jeżeli Kochanowski w malowaniu nie domierza poprzednim pracom artysty, to zapewne nie w skutek nieumiejętności i użycia drobnych sposobów, (zarzut aż śmiesznością trącający), ale w skutek jakiejś innej przyczyny. Poszukajmy więc tej przyczyny, patrząc na obraz. Na tle ciemnym, nader trafnie do przedmiotu zastosowanem, gdzie wszystkie szczegóły poświęcone są umyślnie i umiejętnie, dla zwrócenia uwagi na rzecz samą, wychyla się głowa męża i dziecięcia. Głowy te artysta pochwycił z gorącym uczuciem i nadawszy im wyraz, zaniechał następnie bardziej szczegółowej koloryzacji, która nie idąc razem z natchnieniem, użyta później jako wyrób umysłu i pracy, stanowiłaby coś osobnego i nie zlała się nigdy dostatecznie z przedmiotem. Koloryzacja tu przeto, nie zjawiwszy się od razu, zredukowana jest do pewnej liczby tonów stanowiących złudzenie optyczne, ale nie wypełniających bogatą kombinacji, jakiej wymaga piękne i pełne przedstawienie ciała ludzkiego. Zaprzeczyc nie można, że połączenie zalet uczucia,

wyrazu, charakteru, z pełnym i bogatym kolorem, byłoby wyższem, ale tylko w razie gdyby ten kolor wraz z treścią z pod pędzla wytrysnął, gdyby był dla niej koniecznością; ale kiedy artysta przedmiot swój bardziej w duchu aniżeli w rzeczywistości odczuł, znawca zatem nie materialnego traktowania żądać, ale obraz sądzić z tegoż samego bardziej duchowego stanowiska powinien, zwłaszcza że w obrazach lirycznych głównie o uczucie idzie; subtelniejsze zaś nałożenie kolorów i wykończenie koniecznym jest tylko w razach gdy rzecz sama przez się mała i drobna, przez wykonanie ma się podnieść do znaczenia sztuki. Ton czerwony, mianowicie w cieniach, w jakim jest trzymany cały obraz, nie jest wcale wadą, ale raczej pewnym indywidualnym pocuciem kolorytu przez artystę, który spostrzegamy i u niektórych mistrzów dawniejszych, również jak spostrzegamy jedne obrazy wyższe, drugie niższe pod względem traktowania, jednego i tegoż samego autora, nie obciążając go przeto zarzutem użycia niewłaściwych środków, lub dążenia za efektem.

W czasach w których żyjemy, w czasach archeologii, techniki, w czasach tak niezblaganych dla uchybień formy, któż będzie dosyć śmiały, ażeby tę formę lekceważyć? I my też jej nie lekceważymy, tylko nie chcemy modelować się na wzór dzisiejszej chwili, potrzeby czasowej wyżej stawiać nad prawdę wieczną. Wprawdzie nikt nie zaprzecza, że trudniej jest wyczytać i oddać charakter historyczny bohatera w obliczu, postawie i czynie, jak dać o nim wyobrażenie przez szczegóły dotyczące jego osoby, przez jakieś właściwe mu nawyknięcie, strój, wadę lub przymiot fizyczny; ale w sądach, w życiu ulegamy mimowolnie prawdomi czasu, i zapominając o wyższych wymaganiach, martwiąc literze udzielamy swoje sankcya. W skutek tego dziś wielkie błędy więcej doznają pobożania niż małe; dziś wolno jest, niestety, pomylić się w treści, wolno namalować obraz bez duszy, ale niewolno nietylko pomylić się, lecz nawet inaczej namalować, jak wyobrażenia czasowe każą.

P. Kossak głównie dotąd poświęcał się malarstwu rodzajowemu, a niekiedy tylko, i to bardzo rzadko, robił wycieczki na pole historyczne. P. K. badał naturę konia i szlachetne to zwierzę ze strony charakteru przedstawia, człowieka zaś, w skutek intuicji wewnętrznej, odgadł raczej niż zbadał; chwytą go na gorącym uczynku, a wrażenie swoje z rozwagą na papierze lub płótnie oddaje. W charakterze artystycznym p. K. jest coś z geniuszu mistrzów holenderskich; najpowszedniejsze sprawy, jak np. *Biada, Koń ekonomski* i wiele innych, nabierają pod jego pędzlem znaczenia moralnego. P. K. widzi wielką stronę w małych przedmiotach; o formę zaś, o sposób oddania troszczyć się nie potrzebuje, bo ta forma rodzi się u niego razem z myślą, zrasta z przedmiotem, zwłaszcza w akwarelli. Czy jednak na pole historyczne talent artysty tego z taką samą przewagą przenieść się zdoła, tego dotąd z pewnością wiedzieć nie możemy, chociaż już mamy zadatek nieposłedni w *Zienkowiezu* i *Morsztynie ciągnącym Tatarów*. Ostatni ten przedmiot nie jest wprawdzie podniesionym do znaczenia jakiegoś mógł mieć, i raczej obyczaj ówczesny, niż kartkę z dziejów przedstawia; ale w figurze Morsztyna dużo jest butności i zapалу wojennego, koń z jeźdźcem pędzą gnańci jedni myślą, więc są przymioty nieodbitcie historycznemu malarzowi potrzebne. Artysta harmonijnie i z precyzją uderzył pierwsze, wstępne akorda epopei dziejowej. Czekamy dalszego ciągu, czekamy epopei samej.

Krajobraz nielicznych ma przedstawicieli. P. Schouppé obznajmił nas głównie z Karpatami i sąsiedniemi tym górcom zamkami; długi czas stał na czole tego rodzaju malarstwa i umiał często pochwycić stronę poetyczną naszego kraju. Obrazy jego kąpią się we mgle przezroczyści, oświecone po większej części promieniami zachodzącego słońca, a zamczyska stare, w połowie zmrozone, wyglądają jak dalekie, w pół zatarte wspomnienie. W rozwoju jednak artystycznym tego malarza nie możemy dopatrzeć postępu: treść i forma zawsze jednakie. Pan Schouppé kopiuje siebie samego; ztąd każde nowe dzieło przybywające, wydaje nam się już gdzieś widzianem. Wyobrażenia, chociażby najdoskonalsze, ale wypełnione i zawarte, prędzej czy później przedawnieniu ulegdą muszą.

Pan Szermentowski objawił zrazu nieposłedni talent; jego typy wieśniacze, jego chaty, wody, równiny i pola były polskie, nie zidealizowane wprawdzie, nie przeniesione w sferę wiecznej młodości i nieśmiertelności pod chwilowym wrażeniem, z chwilowym swym uczuciem i chwilową fizyognomią. Taki talent powinien być koniecznie sięgnąć w głąb przedmiotu i w głąb własnej duszy, umysł i rękę kształcić jednocześnie; dla takiego talentu trzeba było żyć na tej ziemi, poić

(1.) Obacz *Gazette des beaux arts*, rok 1859: *Apollo* i *Mar-syas* Rafaela, oraz *Najświętsza Panna Michała Anioła*.

się jej urokiem, trzeba się było wpatrywać w nią coraz miłośniej i goręcej, trzeba było wnieść w siebie samego i postarać się o przyswojenie sobie żywiołu badawczego. Pan Szermentowski pojechał zagranicę, tak jak to zwyczaj u nas, pojechał nieprzygotowany, mając w zapasie tylko żądę sławy i zamilowanie artystyczne, i zyskał zagranicą tylko technikę, tylko zręczność ręki. Zapasy jego duchowe nie zwiększyły się bynajmniej, nie wzrosły w stosunku do możliwości wykonania, i obrazy jego okolic polskich przysłał o tyle są tylko lepsze, o ile strona formalna zyskała, ale niema w nich i dziś, jak nie było niegdyś, owę głębi duchową, tak pożądaną i konieczną do dalszego rozwoju.

P. Kostrzewski poświęca się stale rodzajowemu malarstwu i talent swój rozwija ciągle w tym kierunku. Jestto, podobnie jak p. Szermentowski, talent wrażliwy, chwytający wszystko co mu się nastręczy, ale umiemy zarazem w każdej, najbardziej codziennej i powszedniej sprawie upatrzeć jakąś poetyczną stronę, każdy przedmiot podnieść moralnie, zidealizować każdą chwilę. Jego obrazki przedstawiające obyczaje ludowe i typy chłopskie, tak są polskie jak p. Szermentowskiego; lecz gdy p. Szermentowski, utrwalając na płótnie jakąś przemijającą chwilę, przedstawia ją z jej ułomnościami i naleciałościami, p. Kostrzewski otrząsa ją z pyłów i dodatków ziemskich, przedstawia jaśniejszą i miłszą. Panu

Kostrzewskiemu idzie przede wszystkim o wyrażenie myśli, które z pośpiechem rzuca na płótno, tak dalece, że nieraz u niego skała, (jak w obrazie przedstawiającym *Złoty potok*) zamiast twardości, ma miękkość i puszystość niewłaściwą; drzewa (jak w obrazie przedstawiającym *Noc i pożar*) są tylko cieniami drzew; czasem też oświecenie bywa sztuczne, trawy konwen-



ZWALISKA ZAMKU W KRYŁOWIE. (Rysował z natury Fabijański).

ZWALISKA ZAMKU W KRYŁOWIE.

Nad samym Bugiem, o mil dwie od Hrubieszowa, leży prywatne miasteczko Kryłów, niegdyś odwieczne dziedzictwo rodziny Radziejowskich, a następnie Prazmowskich. Wedle miejscowych podań, zbierali się tu obywatele z okolicy w czasie napadu Tatarów i na wyspie odnoga Buga oblanej, zbudowali sobie na początku wieku XVI warowny zamek, gdzie się z majątkami swymi ukrywali, z kąd zamek najprzód Kryjowem, a następnie Kryłowem zwać zaczęto.

Zamek ten stał na znacznym wzniesieniu, a lubo mała część z niego dziś pozostała, przecież i z niej widać że był w stanie silnie nieprzyjaciół wytrzymać napady. Jakoż o prócz wody która go dokoła oblewała, broniły jeszcze przystępu do niego obszerne i nader bagniste łąki, i dziś nawet do przebycia nielatywne. Wał i przekop zamek ten otaczające, miały postać czworoboku, po rogach od strony południa murewanymi bastionami wzmocnionego. Główne zamkowe schronienie zbudowane było we wschodnio-północnym narożniku, a miało podstawę skośnie-czworokątną. Mury w tej części na cztery łokcie grube, dowodzą że ta właśnie najkosztowniej-sze zachowywano rzeczy, do czego pewnie służyło obszerne sklepione podziemie, rozciągające się pod całą tą częścią zamkowej budowli.

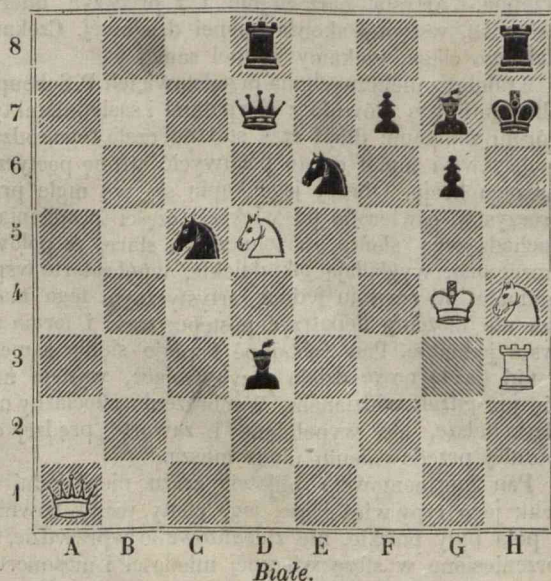
SZACHY.

ZADANIE CXLII.

(J. B. z Grodna).

Białe zaczynają i dają mat za czwartym posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 144.

Białe.

Czarne.

- 1) E3 — G4 . . . 1) F4 — D6 biorą (najlepiej)
- 2) A2 — H2 + . . . 2) D6 — H2 biorą.
- 3) G4 — F2 + i mat.

cyonalne; ale myśl zawsze jest, ale poczyta wieje z tych obrazów, ale te typy chłopskie zawsze mają charakter. Pan Kostrzewski jednak nie powinien nadal zaniedbywać formy, lekceważyć tego, co ma nadać kształty rzeczywiste jego myślom, bo i na tej drodze czekają go podwodne rafy, i tu, zamiast się dobijać do większej jasności, mógłby się stać nieokreślonym i mętnym, umniejszyć wagi i znaczenia przedmiotowi, jak się to stało z obrazkiem przedstawiającym *Pożar*.

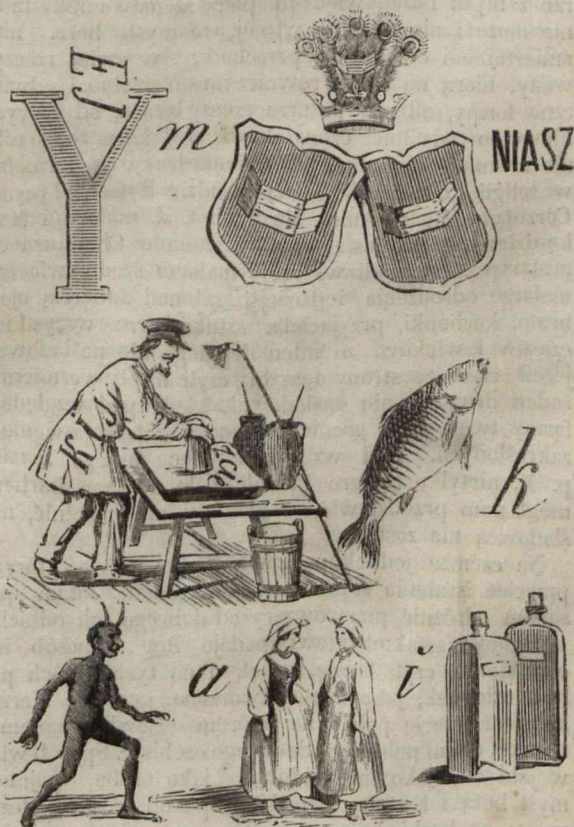
Mówiąc o znakomitszych naszych talentach, nie możemy pominąć ładnego studium p. Murzynowskiego przedstawiającego *Starca*. Pan Murzynowski od dawnego czasu nie objawiał się zgola, i na raz jeden daje nam głowę myślącą, z charakterem surowym, badawczym, fizyognomią głęboko w wspomnieniach zaczerpniętą, o dalekiej perspektywie moralnej. To piękne dzieło, mające w sobie zalety myśli i wykonania, każe nam pragnąć częstszego spotkania się z dziełami tego artysty.

Oprócz tego studium, znajduje się jeszcze obecnie na wystawie wiele utworów zasługujących na szczególne ocenie, które jednak zostawiamy sobie do późniejszego czasu.

A teraz, zwracając się do myśli która nam na wstępie przewodniczyła, kilka jeszcze słów dodamy. Gdy przebiegając wystawę, dzieła artystów naszych oceniać będziemy nie ze stanowiska wysokich estetycznych pojęć i wymagań, ale względnie do czasu i okoliczności, gdy nie wskazywać drogi i celu, ale obrachowywać ogólnie postęp i mierzyć doniosłość sił naszych artystycznych zechcemy, — przyznać nam wypadnie, że jest u nas życie, że temu życiu idą w pomoc praca i wytrwanie, że geniusz sztuki, anioł stracony, który nam stanął przed oczyma jako wizja ostrzegająca, przy wzrastającym zamilowaniu jakie publiczność sztuce krajowej okazuje, przy zacnej pracy artystów i dążeniu do coraz wyższego i szerszego pojęcia piękna, krepujące go więzy zruci, a skrzydła do lotu rozwinię.

Ludwik Buszard.

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 173.
Nie czuje chłop w chlebie ości, ale jak się wypoci.
(Dodatek).

Rafał Józef Czerwiakowski,

NESTOR CHIRURGII W POLSCE.

(Dokończenie).

Od r. 1796 Czerwiakowski zajęcia swe ześrodkował w klinice chirurgicznej, w ustnym wykładzie chirurgii, w pisanu dzieł i w praktyce miejskiej; prócz tego był lekarzem młodzieży w bursach utrzymywanej. Przy tylu różnorodnych pracach, życie jego biegło cicho, spokojnie; oddany wyłącznie obowiązkom swego powołania, dawał z siebie przykład, że naukę, kształcąc rozum, czyni ludzi dobrymi, łagodnymi. Wiek i ciągła praca stargały jego siły, i tak już z natury wątłe. W r. 1804 często musiał wyręczać się w zajęciach akademickich profesorem Sirtlerem, a w r. 1803, za rządów austriackich, Jan Nepomucen Rust przysłany został do Krakowa na profesora chirurgii. Chociaż zajęcia urzędowe Czerwiakowskiego tym sposobem nieco się zmniejszyły, siły jednakże z dnia na dzień opuszczały naszego profesora, tak iż w r. 1805 d. 4 maja rektor uniwersytetu Minoeki przyznał mu prawo do wynagrodzenia dożywotniego, należącego się wysłużonemu profesorowi akademii krakowskiej.

Czerwiakowski miał wtedy lat 62 wieku, sławę ustaloną, powszechny szacunek, był zapewniony, a przytém mocno nadwątłone siły. Pomimo to nie spoczął na wawrzynach; umysł jego, w ciągu wielu lat czynny, nie zestarzał się; wolny od zajęć akademickich, głębiej zajrzał w przeszłość, rozpatrzył się po obszernym polu chirurgii, którą w ciągu lat wielu pielęgnował, zmierzył swe siły i na schyłku pięknego żywota, powziął wielką myśl obdarzenia kraju dziełem w całości obejmującym chirurgią. Bóg pobłogosławił jego zamiarowi, przedłużył mu pielgrzymkę ziemską jeszcze na lat jedenaście, a kiedy rękopis dzieła w zupełności ukończył i połowę jego już wydrukował, wtedy dopiero Czerwiakowskiego pełnego chwały ziemskiej, powołał Stwórca do swej chwały wieczystej, 3 lipca 1816 roku, w 73 roku życia, a w 37 możnej naukowej pracy.

Czerwiakowski, chcąc upamiętnić imię swe w krakowskiej szkole, darował wydziałowi lekarskiemu jeszcze 15 grudnia 1810 r. cały swój kosztowny zbiór książek: 539 nowszych dzieł i 1405 rozpraw lekarskich, a nadto zbiór narzędzi chirurgicznych i opasek.

Chirurgia Czerwiakowskiego, wydrukowana w roku 1816 w ilości 2000 egzemplarzy, za życia autora i własnym jego kosztem, nosi napis: Narządu opatrzenia chirurgicznego sześć części. (6 tomów w 8ce, XXXVI tablic w 4ce rytych, przedstawiających wzory desmurgiczne).

Poznajmy się bliżej z treścią chirurgii Czerwiakowskiego. Obszerne swe dzieło autor głównie dzieli na dwa tomy, a każdy tom na sześć oddzielnych części. W pierwszym tomie wyklada o narządzie opatrzenia chirurgicznego, (materia chirurgica, apparatus chirurgicus, chirurgische Geräthschaften, bandages, appareils, pansements, opérations simples), który, stosownie do natury używanych przedmiotów, rozpada się na sześć części w następnym porządku: część 1sza traktuje o istotach służących do opatrzenia zewnętrznego, (chirurgische Verbandgeräthe), zaczynając od skubanki (linamentum); w 2ej części wyklada naukę o opaskach i rycinami objaśnia, (desmurgia, adminicula deligatoria); w 3ej znajdujemy rzecz o sprzętach i narzędziach chirurgicznych (chirurgische Maschinen); 4ta część traktuje o instrumentach (akologia, instrumentarium chirurgicum); w 5ej części opisuje operacje tak zwane mniejsze, w celach czysto lekarskich i chirurgicznych używane (chirurgia parva); w 6ej części mówi o działaniach i skutkach leków (pharmacologia chirurgica). Pierwsze pięć części wydane za życia autora w 1816 r., szósta zaś część ogłoszona drukiem po jego śmierci w 1817 r.

Drugi tom, po dziś dzień jeszcze zostający w rękopisie, podzielony także na sześć części, zawiera w sobie całą chirurgią ogólną i szczegółową (chirurgia theoretica, patologia chirurgica czyli zewnętrzna). Bogaty materiał tej nauki wyczerpnął zupełnie, opracowując go w następującym porządku: w 1ej części daje ogólne pojęcia o chorobie; 2ga część zaczyna wykładem nauki o zapaleniu w ogóle i cierpienie to kolejno i szczegółowo rozbiiera we wszystkich tkankach i organach naszego ustroju; w 3ej części znajdujemy opisanie chorób z przerwy spójności części pochodzące, jak: wrzody, rany, złamania kości; część 4ta zawiera w sobie choroby pochodzące z niewłaściwego położenia części ciała, mianowicie przepukliny, opadnięcia, wywroty, zwłóknienia; treścią 5ej części są choroby biorące swój początek od wstrzymania lub zatamowania biegu soków, mianowicie obrzmienia, wzdęcia, guzy, wyrosty, zatkania; 6ta część, którą autor zamyka swe piękne dzieło, zawiera w sobie naukę o nieprawidłowych tworach i wadliwej postaci szczegółowych części.

(Dodatek do Nru 176 Tyg. Ilustr.)

Dzieło którego treść przytoczyliśmy, dając wymowne świadectwo o głębokiej nauce autora, stanowi najpiękniejszy pomnik XVIII i pierwszych lat XIX wieku pod względem nauki chirurgii, i nietylko w polskiej, ale i w europejskiej literaturze chirurgicznej zaszczytne zajmuje miejsce. Plan dzieła obmyślony głęboko; oddzielne części starej chirurgii znalazły właściwe sobie miejsce w jednym dziele i wszystkie opracowane są po mistrzowsku. Autor nie ograniczył się rękodzielniczą częścią chirurgii, ale zajrzał w istotę chorób i stosownie do panujących idei w patologii, naturę ich określa, opisuje rozwój, bada przyczyny, i nie jako empiryk, lecz jako anatom i fizyolog, stosowne leczenie przeznacza. Czerwiakowski przedstawia się nam nie jako kompilator, ale jako samodzielny myśliciel, który każdy oddział nauki sam zbadał, przetrwał i gruntownie sobie przyswoił. Nie potrzebuje on używać wyrażen: *mówią, podają, zapewniają*, ale opierając się na własnych długoletnich naukowych badaniach, śmiało postawić może swoje *ja*. Przyznajmy że niewielu mamy takich mężów w nauce, którzyby na zaszczyt naszego kraju mogli powiedzieć: *ja zbadałem, ja odkryłem, ja stworzyłem*. Kopernikowi i Śniadeckich zastęp zbyt szczupły jeszcze; żyjemy dotąd nadzieją.

Miał wprawdzie Czerwiakowski piękne wzory w chirurgii zagranicznej. Nie sięgając dzieł odleglejszych czasów, wskażmy główniejszych autorów XVIII i XIX wieku, którzy przed Czerwiakowskim pisali i z których on bez wątpienia korzystał; takimi są: Heister (1718), Manget (1721), Smith (1732), de la Fage (1738), Platner (1743), Naunon (1764), Pallas ojciec i syn (1763 i 4), Portal (1767), Jean Louis Petit (1775), Callisen (1777), Chaupart i Desault (1779), John Aitken (1779), Richter (1782—1804), Benjamin Bell (1783—1788), Nessi (1790), Sabatier (1797), Arnemann (1798—1801), Monteggia (1802—1803), Richeraud (1805), Lassus (1806), John Bell (1809—13), Leveillé (1812), Assalini (1812), Rudtorff (1812), Samuel Cooper (1813) i Boyer (1814). Otóż dla lepszego oceny dzieła naszego rodaka, postawmy go w obec najlepszych autorów zagranicznych, których dzieła wyszły w tymże roku co i Czerwiakowskiego, mianowicie w 1816. Takimi autorami są: we Francji Delpech, professor w Montpellier, chirurgiczną gwiazdą południa przezwany, w Szkocji Allan, w Londynie John Howship, których dzieła po dziś dzień jeszcze szacowane są w Anglii. Porównując ich pod względem układu, naukowego opracowania oddzielnych części i zupełnego wyczerpnienia przedmiotu, Czerwiakowskiego jeżeli nie wyżej, to na równi z tymi uczonymi postawić możemy. Bogaćstwo źródeł, znajomość chirurgii wszystkich narodów, ogromne własne doświadczenie, sąd dojrzały, jasność wykładu, są głównymi cechami dzieła Czerwiakowskiego. Czerwiakowski znał wartość utworu, którym darzył rodaków na schyłku pełnego zasług żywota, ale nie przewidywał, że z owocu trudów jego, w ciągu lat wielu, mało kto korzystać będzie. Dzieło jego, z powodów niczem usprawiedliwić się nie dających, zamknięte w akademickiej drukarni, na pastwę owadom oddane, lub na makulaturę obracane, do księgarskiego handlu nie weszło. Krzywda to dla autora, niepowetowana strata dla kraju. Ale czas najlepiej ocenia zasługi, a namiętnościom umilknąć każe. Stary Kraków wkrótce święcić będzie narodową uroczystość 500-letniego istnienia matki szkół polskich. Wszystkie gałęzie ludzkiej wiedzy zaświadczą o przeszłej chwale i zasługach jagiellońskiej wszechnicy; jej nauczycieli i uczniów znakomitych wdzieczna potomność uczci bez wątpienia. Przedstawicielem chirurgii być może jedynie Czerwiakowski, jako najstarszy w tej winnicy pracownik. Jeżeli Francya A. Paré, Niemcy Heistera, Anglia Wisemanna z chlubą nazywają Nestorami chirurgii w swych krajach, niesprawiedliwem byłoby żeby Kraków zapomnieć miał o Czerwiakowskim, Nestorze chirurgii polskiej. Najpiękniejszą po nim pamiątkę stanowiłoby wydanie wszystkich pism jego. Możeby komitet obchodu jubileuszu krakowskiej akademii wynalazł potrzebne do tego środki; oddanie czei rzetelnej zasłudze i talentom, przynosi zawsze zaszczyt i chwałę narodowi.

P. Girsztowt.

PRZEGLĄD PIŚMIENNICZY.

Volumina Legum. — Przedruk zbioru praw staraniem ks. pijarów w Warszawie od r. 1732 do r. 1782 wydanego. — Petersburg r. 1859 — 60, tomów 10. — (Wydanie Józafata Olryzki).

Jest pomiędzy księgami polskimi jedna, na której ułożenie składało się kilkanaście pokoleń; księga to szanowna pyłem wieków. Z księgi tej, więcej jak z innych źródeł historycznych, uczyć się będziemy dawnych

dziejów; podług niej ocenimy zasługi i prace przodków, bo w niej zamknięta myśl ich i życie. Jeszcze Górnicki powiedział, że prawo jest to rozum powszechny; otóż w książce o której mówim, mieści się ten rozum polski powszechny. Są to nasze Volumina legum.

Nazwisko to książki ma także swoją historią. Zbierano prawa polskie oddawna. Volumina, chociaż są najpóźniejszym ich zbiorem, nie obejmują jednak całości praw polskich, nie są także ani statutem litewskim, ani czémś w rodzaju kodeksu francuskiego. Najmniej w nich właśnie o tém, co stanowi treść statutu i zwykłych kodeksów prawodawstwa. Volumina są zbiorem praw politycznych narodu, praw uchwalonych w różnych czasach, rozmaitej treści; jest to zbiór ustaw częścią prywatnych, częścią administracyjnych, sądowych i wojennych; jest to surowy wreszcie materiał, z którego dopiero taki uczyony jak Lengnich mógł układać swoje prawo polskie, z którego inny uczyony może pisać rzecz o sądownictwie naszym, o trybunalach, o wojskowości i t. d. Niema też w Voluminach całego szeregu praw i artykułów o spadkach, testamentach, dożywociach, a przynajmniej bardzo mało; coś o tém wszystkiém znajduje się w prawodawstwie wiślickiem, i to nie systematycznego, bo miał być w tym celu wydany osobny za Zygmunta statut koronny, jak był statut litewski. W Voluminach legum jest, powtarzamy, tylko polityczna strona życia narodu, mocno wybitna. I poprzednie zbiory naszego prawa przed Voluminami też samą miały cechę, bo w ogóle stosunki prawne wewnętrznego narodowego życia opierały się więcej nastarodawnym zwyczajom.

Wspomniwszy tu pokrocie o zbiorach praw naszych, żeby dojść do historii i nazwiska Voluminów, które powtarzają materiał już dawniej zebrany, dopełniając go tylko późniejszymi konstytucjami. Zupełnie tak samo robili kontynuatorowie w czasach średniowiecznych.

Kancelarz Łaski pierwszy zbierał prawa polskie, według rozkazu króla Aleksandra Jagiellończyka. Dawniejszych nie znalazł od statutu wiślickiego. Po nim Jakub Przyłuski, za Zygmunta Starego, zbiór swój rozdzielał według materij. Jan Herbut kasztelan sarnocki za Zygmunta Augusta, na polecenie sejmu, zbierał prawa; wydał je po polsku i po łacinie. Zaczyna wojewoda krakowski Mikołaj Firlej, zajmował się później tą pracą za Zygmunta III, a z jego pórki Januszowski zbiór nowy ogłosił drukiem. Jędrzej Petrykowski, za tegoż króla, pierwszy pomyślał o zbieraniu konstytucyj, któremu to imieniem od czasów Zygmunta Augusta oznaczano liczne prawa, stanowiące na sejmach w różnych materjach. Później, za każdym sejmem, osobno wychodziły dyaryusze i konstytucje. Prawodawstwo polskie rozwijało się. Dawniej bywały krótkie sejmy, teraz zaczynały być i dłuższe i częstsze. Pomimo prawa, że sejm zbiera się raz w dwa lata, rzadko który rok był bez sejmu, a nieraz po dwa jednego roku bywały, zwyczajny i nadzwyczajny; konstytucyj się więc mnożyło. W konstytucjach to głównie rozwijało się prawo polskie narodu, jak w dawniejszych statutach dyplomatyczne i zasadnicze, to jest takie, na którym opierała się społeczność polska. Konstytucje ostatnie zarysy architektoniczne nadawały całemu gmachowi prawodawstwa rzplitej.

Chociaż nie tak wiele było wydań dawnych zbiorów, jednakże widać potrzebie narodu wystarczały. Ale po Petrykowskim nikt nie zbierał konstytucyj, ginęły więc, rozpraszały się. Wtedy, za Augusta IIgo, Załuski z Konarskim postanowili jeszcze jeden zbiór praw polskich ogłosić, to jest powtórzyć dawne wydania i dopełnić je zbiorem konstytucyj sejmowych aż do chwili bieżącej. Statuta dawne zamknęli w jednym tomie, który wyszedł 1732 r. W tomie drugim idą konstytucje od r. 1550, już po polsku pisane, bo Zygmunt August, król wiekopomny, tę ma jeszcze względem narodu zasługę, że po polsku prawa pisać kazał. Tom drugi zawiera zbiór Petrykowski. Następne tomy zbioru zawierały konstytucje aż do włącznie roku 1736, w którym odbył się sejm pacyfikacyjny Augusta III. Było ich sześć; tom szósty wyszedł w roku 1739. Zbiór ten prawodawstwa narodowego uczeni zbieracze pierwszy raz nazwali Volumina legum. O pracy ich pisaliśmy kiedyś obszerniej, w Przeglądzie naukowym.

Nazwisko Voluminów zagluszają inne. Dzieło było wielkie, więc imponowało samym swoim ogromem. Uniemożliwiło najprzód przedruki dawnych zbieraczy, a późniejszych ku sobie pociągnęło. Dlatego kiedy w r. 1780 pijarowie warszawscy, w których drukarni odbijało się wydanie Załuskiego i Konarskiego, postanowili wystąpić za Stanisława Augusta z nowym zbiorem najpóźniejszych konstytucyj, nie wydawali już, i bardzo rozuennie to zrobili, osobnego dzieła, ale zbiór swój dodawali do Voluminów,

jako ciąg ich dalszy. Tak powstały tomy 7 i 8my Voluminów, które zawierają tylko prawodawstwa stanisławowskie, od roku 1764 do 1780.

Niema i nie było tu żadnych opuszczeń, chociaż oprócz sejmu pacyfikacyjnego z r. 1736, nie niema z prawodawstwa konstytucyjnego drugiego Sasa; prawodawstwa tego albowiem prawie wcale nie było. Nieraz rzplitej wyroził i tę rzeczywistość oryginalną zasadę, że na sejmie zerwanym wszystkie nawet uchwalone konstytucje przepadały, stawały się niczem. Było to w części wadą organizacyi sejmowej, dziennego porządku, jakby dziś powiedziano. Sejm albowiem obradował, odrzucał lub uchwalał konstytucje na pojedynczych sessjach, ale dopiero na ostatniej spisywano je wszystkie, poprawiano redakcyą i razem odczytywano sejmowi. Dawało to pole do wielkich nieraz nadużyć, bo redakcyą ostatecznie załęzała od deputowanych do konstytucyj, to jest niby od biura sejmowego. Kiedy owoc kilkomiesięcznych prac odczytywano razem i jakby w pośpiechu, naturalnie posłowie nie wszystkiego naraz dostrzegli i nie wszystko doskonale mogli objąć pamięcią. Dlatego nieraz czytamy skargi, że konstytucje drukowane są inne, a inne były uchwalone. Bywały nawet sejmy, co konstytucje sejmów poprzednich inaczej przedrukowywać kazały, jak tego dowody mamy w samych Voluminach.

Za Augusta III dochodziły sejmy; rzadko który z nich zerwał na początku; jeden tylko nie doszedł, z przyczyny że król na czas nie mógł przyjechać z Saksonii. Wszystkie dochodziły w swojej porze i obradowały po sześć tygodni, jak prawo kazało. Dlatego posiadamy całkowite ich rękopiśmienne dyaryusze, dlatego napisano na nich cały szereg konstytucyj; ale ponieważ sejmy przez złą wolę zawsze w ostatniej chwili były zrywane, konstytucje nie nie znaczący i prawie w żaden sposób wejść nie mogły do zbioru prawodawstwa, które obowiązywało. Za dawniejszych czasów po-jagiellońskich, statutowi Herburt przyznawano powagę w sądach; później taką powagę uzyskały Volumina legum, które naturalnie wdać się nie mogły w zbieranie projektów prawodawczych, jakimi były uchwalone nawet konstytucje każdego zerwanego sejm.

Volumina legum składają więc do dziś dnia 8 tomów, zawierających prawodawstwo polskie od roku 1347 do 1780. W tym lesie trudno byłoby się znaleźć. Dlatego ułożył do nich pierwotnie inwentarz Maciej Ładowski; pracę Ładowskiego do r. 1726 doprowadził uczony referendarz Żalski; potem dalej ją ciągnęli Arnolf Żeglicki i Waga; do dwóch tomów stanisławowskiego prawodawstwa ułożył inwentarz Teodor Ostrowski, wszystko sami pijarowie. Volumina legum, rzeczy można, były dzieckiem ulubionem tego uczonego zgromadzenia.

Volumina legum były w naszych czasach bardzo rzadką książką, to rzecz także naturalna. Lat sto przeszło upłynęło od wydania pierwszych sześciu tomów; cały nakład rozszedł się po rękach, a w znacznej części przez samo działanie czasu, przez wojny i pożary, zmniejszył się co do ilości w biegu będących egzemplarzy. Volumina leżały po bibliotekach, a rzadko się znajdowały gdzie w ręku prywatnym. Jednakże to książka pierwszej wazności, przy poszukiwaniach naukowych konieczna. Obyć się bez niej żaden z badaczów nie może, jak bez Korony Niesieckiego. Powiedzielibyśmy, że to są dwa elementarze historii polskiej dla uczonych. Obadwa dzieła były i rzadkie i drogie. Kupowano po jednym tomie i Niesieckiego i Voluminów i przepłacano je. Egzemplarze rzadko gdzie były zupełne, jak Tomicyanów. Dlatego Bobrowicz przedrukował Koronę w Lipsku, żeby dogodzić szlacheckiej próżności. Dla Voluminów zdaje się nie było nadziei. Przedruk tak ogromnego dzieła, z inwentarzami, wymagał znacznych nakładów. Działyński, co zaczął drukować Tomicyana, co zbiór praw litewskich ogłosił, mógł tylko odważyć się na takiego rodzaju literackie przedsięwzięcie.

Po tem co powiedzieliśmy, wnosić należy o zasługę Ohryzki. Wziął się do pracy gorliwie, z całym poświęceniem się, i w ciągu dwóch lat niespełna dał nam wydanie 8 tomów praw, a dwóch tomów inwentarzy. Ohryzko zbudował tem sobie pomnik wiecznotrwały w nauce. Wydanie jest sliczne, niedrogi, podręczne. Druk wyraźny, papier biały, format nie arkuszowy, ale wielkiej ósemki, więc daleko podręczniejszy. Dziś, oszczędzając druk, na mniejszej przestrzeni, więc daleko wydrukować można. Dawne wydanie dlatego niepraktyczne było, że zajmowało dużo miejsca; wydanie Ohryzki może być pod ręką na każdym stole uczonego. Nareszcie sto kilkanaście złotych przedź się da, jak 500 i 600, bo tyle się płaciło za komplet dawnego wydania Voluminów. To strona tylko materialna wydania. Ale z czémże zrównać tę przysługę

Ohryzki, że upowszechnił książkę niezbędną? Czekalibyśmy długo na drugie wydanie Voluminów, a razem i te egzemplarze, co są jeszcze wśród nas, stawałyby się coraz rzadsze. Sami widzieliśmy u pewnego obywatela ziemskiego Volumina, porozrywane w arkuszach, rozrzuconych bez ładu i porządku. Było tych arkuszy niezmiernie wiele; podobierawszy je, możeby się nawet z kilka egzemplarzy, choćby i niecałkowitych, złożyło. Arkusze te pochodziły z biblioteki, którą kiedyś ucieńszy od potomków przodek zbierał. Ale i ta biblioteka i te arkusze Voluminów szły na poniewierkę, na zatrącenie dla domowego użytku. Serce bolało i ostrzegaliśmy właściciela co marnuje; ale nie wiemy, czy był jaki tego skutek. Dziś, te biedne arkusze tem bardziej skazane na zatrącenie, bo przy wydaniu Ohryzki nikt się o dawne Volumina starać nie będzie, chyba bibliografowie i biblioteki.

Wydanie Ohryzki rozejdzie się, prędzej później, niema wątpliwości, i będzie znowu kiedyś rzadkie, a przynajmniej wyjdzie z handlu. Ale publiczność polska ma zawsze obowiązek popierać to przedsięwzięcie w obecnej chwili. Im prędzej się to wydanie rozejdzie, tem więcej damy dowodu przychylności naszej dla tak ważnej sprawy, którą Ohryzko dokonał bezinteresownie i o małych środkach. Świetny dowód publicznego uznania pięknej zasługi, dało mu Towarzystwo archeologiczne wileńskie, kiedy go członkiem swoim obrało. Tak w szlachetny sposób płaci się wdzięczność publiczna, i przekonani jesteśmy, że ten dowód szacunku droższy jest panu Ohryzce nad wszelkie inne pochwały, choć nie droższy od przekonania w sumieniu, że pocziwie się krajowi zasłużył.

Miał wprowadzić Ohryzko rozleglejsze jeszcze plany, ale nie mógł ich przywieść do skutku. Prawodawstwo polskie w jego wydaniu niepełne było nawet pod względem chronologicznym. Wydrukował tylko 8 tomów jakie znalazł, ale byłby się zebrał jeszcze i 9 i 10 tom w rozproszeniu. Rzeczpospolita odbywała po r. 1780 jeszcze pięć sejmów, trzy zwyczajne: Kaźmirza Krasieńskiego w r. 1782, Chomińskiego grodzieńskiego w r. 1784 i Gadomskiego w r. 1786. Potem szedł sejm czteroletni, a raczej dwa sejmy w jednym, od 1788 do 1792 r., i nareszcie grodzieński w r. 1793. Jest moc konstytucyj spisanych na tych sejmach, a szczególnie na wielkim. Wychodziły luźno, w broszurach, jak i mowy posłów. Ohryzko miał chęć dodać do swojego wydania tom 9 i 10. Byłby współautorem, współzbięraczem wielkiego dzieła, razem z Żalskim, Konarskim i Wagą. Ale takie przedsięwzięcie rozszerzone potrzebowało czasu; do tego Ohryzko miał pozwolenie tylko na przedruk, nie na rzecz nową, i skończyło się na projekcie. Słychać było że Działyński chciał w Poznańskim skończyć wydaniem tych dwóch ostatnich tomów, zacząć przedsięwzięcie Ohryzki; ale umarł i projekt przynajmniej zawieszono do czasu.

Następne wydanie Voluminów legum powinno być doskonalsze i zupełniejsze od wszystkich. Składałoby powinno całe Corpus juris polonici. Oczywiście głównym tego przyszłego wydania treść stanowiłaby dzisiejsze księgi Voluminów. Wiele tu zebrano, ale jeszcze nie wszystko, a powinno być wszystko.

Kiedy Żalski drukował swoje Volumina, kiedy Waga z Ostrowskim do nich układali inwentarze, prawo polskie było jeszcze w rzeczypospolitej i obowiązywało. Dziś, chociaż wiele tytułów prawnych na niem się opiera, prawo to jest pamiątką i historią, nie życiem. Tem więcej dla nas powodu, ażebyśmy zebrali wszystkie prawa nasze i utworzyli zwód cały Voluminów legum Na drodze badań już tu nawet wiele zrobiono; idzie tylko o wcielenie zbiorów, odrębnie dokonanych, w jedną wielką całość, żeby lepiej i jaśniej świadczyły o naszej przeszłości.

Volumina legum składają się właściwie tylko z praw koronnych przed r. 1569, i dopiero po sejmie unii lubelskiej stanowią prawodawstwo rzeczypospolitej. Wcieliłby więc do zbioru przyszłego należało prawodawstwo najdawniejsze, ile go się odkryje z czasów piastowskich, a dalej prawodawstwa udzielnych z przed r. 1569 prowincyj rzeczypospolitej. Do tych prawodawstw należy szczególnie litewskie i mazowieckie.

Dla prawodawstwa piastowskiego wielkie zasługi położył Helcel, professor krakowski. Zebrał ustawodawstwo Kaźmirza Wielkiego, oraz statuta i uchwały mazowieckie, nadto prawo prowincjonalne kościoła polskiego. Ponieważ w Voluminach wiele jest, w pierwszym mianowicie tomie, rzeczy dyplomatycznych, więc i tę stronę prawodawstwa międzynarodowego łatwo dopełnić ze świeżo wydanych dyplomataryuszów, a nawet dawnych, zacząwszy od Dogiela.

Mazurówie dużo praw pisali, póki rządili się niepodległe, a nawet później, utonawszy w Polsce, tak o prawa swoje zabiegali, że zrobili dwa ich zwody: Wawrzyniec z Prażmowa i Piotr Goryński zasłużyli się tem swojej prowincyi.

Nareszcie był oddzielny kodeks, statut litewski, nawet aż trzech redakcyj; ale i oprócz statutu, było wiele praw obowiązujących w wielkiem księstwie. Korona prawa swoje wiele razy zbierała, nawet za świetnych czasów; tymczasem nie myślała o tem wcale Litwa, i dopiero w naszym wieku Daniłowicz, z pomocą Lelwela, przyszedł do pięknego zbioru praw litewskich, które wydrukował Działyński.

Te wszystkie prawodawstwa wejśćby powinny do Voluminów legum Polski, bo są jej historią. Oprócz praw litewskich i mazowieckich, znalazłby się jeszcze prawa innych prowincyj.

W samem nawet prawodawstwie Korony, która rozszerzwszy się od r. 1569, urzędownie nazywa się rzeczpospolitą, w samem tem prawodawstwie Korony są znaczne opuszczenia. Tom I Voluminów zajmuje epokę od r. 1347 do 1547, równe lat 200. Epoka tak ważna, a jak mało z niej zabytków! Nawet nie wszystkie sejmy widzimy wymienione w Voluminach, a na każdym coś przecie stanowiono. Jakoż w istocie znajdujemy w metrykach koronnych konstytucje pojedyncze i całe prawodawstwo sejmów, którego niema w Voluminach. Gdybyśmy temi odkryciami i prawodawstwem prowincjonalnem zapełnili brak jaki jest w Voluminach, widocznie zarysowałaby się nam lepiej epoka prawodawstwa z dwóch wieków niezmiernie ważnych pod względem narodowego rozwoju. Statut wiślicki rozpoczął tylko szereg przywilejów dla wolności szlachty. Za Jagiellów zyskujemy prawo kardynalne swobody osobistej, neminem captivabimus; od Kaźmirza Jagiellończyka zaczynamy głośno i prawnie sejmować w terminach oznaczonych, pewnych, a władza prawodawcza ostro od wykonawczej się rozdziela przez to samo. Zygmunt Stary myśli o kodeksowaniu prawa; myślał nawet statut dla miast ogłosić. Epoka ważna, a śladów prawodawstwa w dzisiejszych Voluminach z niej niewiele.

Z czasów już rzeczypospolitej po-lubelskiej radziłybyśmy także zbierać zabytki prawodawstwa sejmów zerwanych, jeżeli odszukać się dadzą. Zawsze to świadczyć będzie o życiu narodu w danej chwili. Będziemy wiedzieli, że wprawdzie prawo nie stało się skutkiem zerwania sejm, ale stawało się, ale miało być już prawem. Niezmiernie pod tym względem ważne są czasy Augusta III. Jak powiedzieliśmy, wszystkie prawie sejmy dochodziły, a ustawały dopiero w chwili, kiedy lała pozór prawny, wniesienie do izby poselskiej świecy lub coś podobnego, sejm obalało. Rzeczpospolita chciała powiększać swoje wojsko i na każdym sejmie o tem jedynie rozprawiano. Kiedy więc wszystkie wywodzenia i rozumowania, nawet projektowania, żeby temu zapobiedz, wyczerpywały się, używano ostatecznego środka. Tak samo ostatnie sejmy za Augusta II rwały się o buławę. Ale konstytucyj uchwalono dużo, i te chcielibyśmy mieć zebrane, jako historyczny materiał.

Volumina legum w dzisiejszym stanie swoim, są jakby lasem, w którym niewiele do zorientowania się pomoga nawet tak pracowite inwentarze, jakie są Wagi i Ostrowskiego. To jedno do zarzucenia p. Ohryzce, że takie inwentarze wydrukował. Pojmujemy, że prawodawstwa uzupełniać nie mógł, bo na to czasu było potrzeba i ludzi uczonych, specjalnych; ależ zamiast kosztów na przedruk inwentarzy, lepiej było je przerobić. Volumina legum są materiałem, nie można nawet objaśnić tego słowami, jak dalece szacownym dla historii osób, miejsc, nietylko dla prawodawstwa. Niesystematyczny inwentarz porządkuje jak może alfabetem przedmiotów, ale gdyby tak jeszcze uporządkował osoby i miejsca!

Julian Bartoszewicz.

OBRAZY LITEWSKIE.

przez

BOLESŁAWA RACKIEWICZA.

(Dokończenie).

III.

Litwini dzisiejsi.

Nim zaczął malować tę Litwę, która w postaci gór, jezior i rzek, niw i ruin zachwyca duszę pięknosci uczuciom przystępną, wspomnę o jej dzieciach, bo znając teraźniejszość, czytelnik, przy małych nawet zasobach wyobraźni, łatwo uniesie się w przeszłość. Świat cywilizowany podobny jest do kwiatu na całym globie rozszerzonego—znają go wszyscy; świat wieśniaczy, gdy jeszcze czysty, nieskażony, podobny jest do krzewu co rośnie w dzikim borze, co wyniesiony z pod cienia dąbrowy, niszczące i wiecznie. Każdy więc kto chce Litwę ujrzyć w pierwotnej jej barwie, musi pod konary zielonych dębów zstąpić. Dla

Jeżeli to prawda, że w postaci wewnętrznej człowieka maluje się jego strona moralna, to na czole Litwina, jak na karcie, oko myśliciela odrazu wyczyta przeszłość jego narodu. Postać wyniosła i krzepka, ostre a kształtne rysy twarzy, smutek i uśmiech gorzki niekiedy, usta często zaciśnięte, zaduma, milczenie, daleko spoglądające oko, są to rysy malujące siłę charakteru, tęsknotę, nadzieję, szlachetność, zaciętość, uwielbienie piękności i wiarę w nieśmiertelność. Postać prawdziwego Litwina nosi na sobie wszystkie cechy wspomniane. Nietylko pojedyncze jednostki, ale i lud cały naznaczony jest temi znamionami narodu wybranego. Jeżeli lud rumuński, jeżeli mieszkańcy Grecyi dziś jeszcze są podobni do praojców swoich, to i Litwin nie przerodził się jeszcze pod tym względem. Jeżeli oliwne gaje i szumiące fale Archipelagu, rozbudziły ducha poezyi i żądzę sławy w potomkach Ciekropsa, to mgliste niebo Litwy i nurty trockiego jeziora wpłynęły niemal na rozwinięcie poczucia piękności w Litwinie. Otoczony ze wszystkich stron sąsiadami którym zaufać nie mógł, Litwin stał się niedowierzającym i podejrzliwym. Czując wszystko co wzniosłe, a mało znajdując z sobą harmonii w otaczającym go świecie, czuł potrzebę zamknięcia się w sobie i utworzenia dla siebie świata z potęg li ducha własnego. Skrytość więc którą Litwini słyną wśród narodów słowiańskich, nie jest złą, ale owszem z najpiękniejszych pobudek wynikającą koniecznością. Duch ludzki podobny jest do wody zdrojowej, która tém bywa czystsza, im źródło z większych głębin wytryska. Człowiek który często od uczucia do uczucia przechodzi, nie rozumie sam siebie, nie wie czego pragnie, za co walczy i czego mu potrzeba. Na twarzy Litwina odrazu obcy przychodził czyta czy mu się spodobał, czy wstręt w nim obudził, więc zatem odrazu czy mu wolno starać się o jego przyjaźń, czy też unikać go powinien. Zdarza się często iż wieśniak niechce pokazać drogi podróżnemu, jedynie dlatego, iż mu niedobrze z oczu patrzy. Niesprawdliwość to może, ale zarazem dowód otwartości. Zabobonny Litwin nie rozumie czego dokazać może cywilizacya; mniema że i dzisiaj jeszcze, jak przed wieki, z ciała o duszy sądzić można. Świat uczuć uważając za najdroższy skarb człowieczeństwa, nie szafuje nim, ale zdolny jest dla przyjaźni i miłości, do poświęceń posuniętych aż do ofiary istnienia całego. Litwin lubi polowanie, lecz strzela do zwierzyny tylko z blizka i wielkim nabojem, z zasadzki najczęściej. Oddaje się także rybołówstwu i całą nieraz zimę przepędza na robieniu sieci i zarzucaniu ich na rozległych jeziorach swojej krainy. Handlu nie cierpi i sądzi że ci co handlują, tylko na oszukaństwo wysyłają rozum. Do pana, gdy jest dobry i szczerzy, łatwo się przywiązuje, ale raz powziętą niechęć do grobu prawie unosi; mimo to je-

Ale malując charakterystykę mieszkańców Litwy, niepodobna czynić to pędzlem maczanym tylko w jasnej barwie. Klasa średnia ma dużo stron jasnych, ale ma dużo i ciemnych. Na świecie więcej głupoty jak złego, powiedział jeden ze współczesnych myślicieli. Oświećmy umysły wszystkich, a nastąpi królestwo Boże przez Chrystusa przepowiedziane. Jedni grzeszą iż się kształcić nie chcą, drudzy iż krwawym znojem nie dobijają się światła; z jakichkolwiek jednak przyczyn złe pochodzi, zawsze jego następstwa są jedne i te same. Są tacy co marzą tylko o majątkach i wszystkie wysiłki swego ducha poświęcają na pracę około jego zdobycia. Zdarza się nawet, o zgrozo! że dosyć ukształceni ojcowie, dorobiwszy się majątku, nie każą uczyć dzieci jedynie dlatego, ażeby nabrawszy rozumu, nie przestali cenić marności, które ich rodzice w pocie czoła nagromadzali. Rousseau marzył o powrocie do błęgiego stanu pierwotnej niewiaomości, ale ideał szczęścia człowieka widział nie w głupowatej postaci, rozpierającej się w aksomitami wystawnym powozie, ale w obrazie cnotliwego Kwakra, zamieszkującego samotną wioskę, na łonie uroczych dolin Ameryki północnej. Jak oświata jest przyczyną, że drobna szlachta processuje się o granice, bije się z chłopami przy zdarzonej sposobności i nie wierzy aby było coś wyższego na świecie nad urzędowy obowiązek i literę prawa. Dorobkowicz prędzej zaufa handlarzowi jak bratu i przeniesie suty obiad nad dzieło sztuki. Ciemnych stron w ciemnych umysłach szlacheckich jest dosyć, stokroć więcej aniżeli w zagrodzie wieśniaczej. Szlachta jednak, która miała spo-

Jeżeli brak oświaty pomiędzy klasą średnią męską należy do wyjątków, choć niestety! zbyt częstych, to wykształcone niewiasty należą także do wyjątków. Rodzice pozostawiają córki takimi jak je Pan Bóg stworzył; nauczywszy je bowiem trochę czytać i pisać, dowodzą iż tego dosyć dla kobiety, żeby była dobrą matką, gospodynią i żoną. Rozumowanie to było trafne, gdy szlachcic żenił się już dobrze podrywany, gdy żenił się na to, aby zrobić majątek i zostawić potomstwo; ale brzmi fałszywie dzisiaj, gdy młodzieniec w przyszłej towarzyszce życia szuka wiernej przyjaciółki, która by przynajmniej potrafiła zrozumieć szczęście i niedole jego serca, która by czarem niewieściom potrafiła zastąpić różę w ciernistym wieńcu wędrowni doczesnej. Zaniedbanie wychowania dziewcząt staje na przeszkodzie Litwinkom do rozwinięcia w całym blasku przymiotów wrodzonych, i chociaż wszystko to co umieją winne są zwykle same sobie, to przecież z kapłanek ognia chrześcijańskiego, siostry poetycznej Biruty schodzą do prostych gospodyń i piastunek dzieci. Ciemnota między kobietami na Litwie jest przyczyną, że dziewczę które podniosło się wyżej umysłowo nad rówieennice, otacza pewien rodzaj szyderstwa. Miano *mądrzej* dają na Litwie nie tej co się wdaje w nauki dla kobiet niewłaściwe, ale tej która rozumie parę języków nowożytnych i wie nieco o przeszłości swego kraju. Młodzież, niezbyt grzesząca rozumem, wstydzi się takiej panny i stroni od niej, aby nie być upokorzona. Kobiety, nie mając klucza do poznania jej przymiotów, placą także chłodem za usiłowania znizienia się do ich pojęć. Ztąd z obydwóch stron cierpkie stosunki, ztąd w odepchniętych początek żalu do ludzi i obojętności dla świata. Złe, którego rysy niewyraźne rzuciłem, rozciąga się niekiedy nawet do rodzin, których ojcowie i matki czują potrzebę nauki i umieją cenić jej owoce. W je-dnym miejscu matka nie chce się rozłączyć z ukochaną córką, w innym brak matki, tam niezamężność, tu niedostatek ukształconych stosownie guwernantek, stoją na przeszkodzie kształceniu się dziewczęci. W ogóle jednak brak zaufania do żeńskich prywatnych naukowych zakładów jest główną przyczyną złego, które już oddawna zawisło nad Litwą. Smutno że wychowanie niewiast taki tam wzięło kierunek, tém bardziej że Litwinki ukształcone, mieszczą w sobie wszystkie przymioty ideałów niewieści. Czułość nieutulona w smutku, miłość ojczyźnej ziemi, wierność w świętych uczuciach, bojaźń boża i prawda w uczynkach i myśli, są to warunki, które znajdziesz w każdej zacnej krwi córce. Z prawdziwą rozkoszą oko przybysza spogląda na te białe postacie; gdy ogień uczuć marzące ich serce ogrzeje, septyk nawet nie śmie wątpić o ich prawdzie.

(Zdarzenie prawdziwe).

Na stepie zielonym, wśród zapadłych kurhanów i spróchniałych krzyżów, kiedy wicher, unosząc tumany kurzu, śpiewa o przeszłości nieznane jakieś dумы, leży wioska niewielka nad brzegami zwierciadlanego

jeziorka, a chatki jej białe, jak garstka paciorków rozsypane szeroko, widnieją zdala na niezmierzonym oczyma obszarze.

Smutna to i samotna wioska: nie wznoszą się nad nią wysokie kopuły cerkwi z pozłacanymi krzyżami i dwór o wyniosłych ścianach nie bieli się wśród niskich jej chat; za wioską tylko w dali wzniesli ludzie cmentarną kapliczkę na wygonie i okopawszy sobie głębokim rowem miejsce wiekuistego odpoczynku, postawili na nim krzyż drewniany, z męką Chrystusa Pana.

Dawny cmentarz już był zapełniony, bujnie rosły na nim piołuny i bodiaki, a na nowym, gdzie stała kaplica, nikt dotąd nie wylał łez boleści, bo żadnej jeszcze nie było tam mogiły; krzyż tylko, wyciągnąwszy ramiona, zdawał się wołać: Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a ja was ochłodzę.

W tej to wiosce, nieopodal jeziora, stała duża i czysta chata, w obszernym zamkniętym podwórku; nowa stodoła i szopki świadczyły o zamożności gospodarza, a para bocianów na dachu klekotała coś o do-brzej doli.

Mrok już zapadł, księżyc w pełni wypłynął na pogodne niebo, a w chacie zgromadzona *semya*, odpoczywała po dziennej pracy. Na ławie przed kominem usiadł dziadek siwobrody i wsparłszy ręce na kiju, sędziwą zwiesił głowę; przy nim syn, gospodarz chaty, naprawiał porwane uprząże, a dziewczka czarnobrewa warzyła przy piecu wieczerzę.

— A gdzież to Nastka, bat'ku? zapytał ojca gospodarz, który snąc niedawno zkądś wrócił.

— A ot tam, odparł starzec, wpatrując się nieruchomie w ognisko.

— Diduniu serdeczny, spytała dziewczka, a wyz z nami jedziecie?

Dziad podniósł na nią oczy i smutno potrząsnął głową.

— Co? czy ja jadę na prąnik? Nie Jaryno, nie moja *hotubko*. Minęły moje czasy! Już mi pono pora odjechać pod krzyż wielki cmentarny, a nie prąnikować jeszcze na ziemi.

— O nie jedźcie tam, nie jedźcie, diduniu serdeczny, a jeśli byście jechali, zabierzcie mnie chyba ze sobą, bo cóż ja pocznę bez was na świecie?

To mówiąc, Jaryna zbliżyła się do dziada i stanęła przed nim z pełnymi łez oczyma. Czerwony blask ogniska padał na jej twarz zarumienioną i na kruczych połyskał się włosach; była w tej chwili piękną, nie wymuszoną pięknoscią salonowych lalek, ale pięknoscią stepowego kwiatu, co się na smukłej kołysze lodydze, co zapłoniony promieniami wschodzącego słońca, z kropelką rosy w kielichu, zwraca się ku niebu. Patrzył na nią dziad stary z miłością, patrzył i ojciec z wyrazem chwały i zadowolenia na twarzy; lecz nikt nie chciał przerwać milczenia, wywołanego poprzednimi słowy Jaryny; aż w końcu drzwi się otwarły, matka jej Nastka, żona gospodarza, weszła do świetlicy, niosąc swój odzież w rękę, i wezwała córkę, żeby wybrała dla siebie najpiękniejszą na jutrzejszą uroczystość.

Jaryna postąpiła parę kroków ku matce obojętnie, bez ciekawości, jak gdyby tylko dla dogodzenia jej woli.

Tymczasem Nastka zaczęła układać na ławie jaszkrawe kramne chustki, barwiste spódniczki, korale, kwiaty kijowskie i przepyszne odeskie pasy.

— Wieleż to się zmarnowało grosza na te szmatki! rzekła Jaryna i spuściła głowę, nie myśląc przegłądać odzieży, czém oburzona matka, zaczęła wmawiać w dziewczynę, że ona, „gospodarska córka“, musi mieć stroje, dla zwabienia sobie conajbogatszego męża.

— Eh, na co też jej najbogatszy? odezwał się dziad stary. Dajcie jej najuboższego, a najpocziwszego, to Bóg będzie myślał o dostatkach za nich oboje.

— Ależ już jej nie oddamy inaczej jak za gospodarskiego syna; wstyd oddawać dziecko włóczędze.

— Ja bo wam tak nie mówię, Nastko; patrzcie ino pierwej uczciwości, niż pieniędzy i gospodarstwa.

Jaryna spojrzała na dziada z cichym wyrazem wdzięczności i dalej krzątała się koło wieczerzy, nie widząc potrzeby mieszania się do rozmowy, a kiedy zagasiwszy ognisko, starzy spać się pokładli, ona cicho wywnęła się z chaty.

Noc była miesięczna i pogodna; jedna chmurka tylko, jak skrzydło anioła Pańskiego, srebrzyła się pod niebem gwiazdzistym. I cicho było; w oddali tylko młynek turkotał i piosenka jakaś rzewliwa płynęła po wieczornych rosach. Jaryna musiała poznać dźwięk dobrze znanego głosu, bo pochyliła czoło na dlonie i rzewnie zapłakała.

Był we wsi młody Cygan sierota, dzieckiem jeszcze maleniem ochrzczony w ruskiej cerkwi, zwał się Ostap. Służył on po chatach za najmyta, i sieroctwo wypiętnowało mu na czole jakąś tęskną zadumę, jakby więzionego w klatce sokoła. Twarz ciemna i włos kruczy świadczyły jawnie o jego pochodzeniu, lecz w oczach jakaś królewska świeciła wyniosłość; postawa też i obejście się takie było poważne, że mimowolny nakazywało szacunek. Jednak ponieważ szatan pychy znajduje niekiedy przystęp do najprostszych umysłów, biedny nasz Ostap, doznawał często upokorzeń od pijanych swoich współtowarzyszów; nieraz synowie gospodarcy (coś nakształt obywatelskich synów u szlachty) dawali mu ciężko uczuć jego pochodzenie i ubóstwo, gdyż na nieszczęście i wieśniacy nasi mają swoje arystokrację, nie tylko pieniężną, lecz i rodową, — łatwo się o tem przekonać można.

Ten to więc młody Cygan sierota, był we wsi pierwszy do pieśni ludowych, których umiał niezliczone mnóstwo. I on po pracy całodzienniej wyszedł ochłodzić się świeżością wieczorną, a chodząc nad jeziorem, śpiewał piosnkę rzewliwą, pewny że nikt mu jej nie przerwie, aż nie wiem ze zwyczaju, czy też niechęć, zabłądził pod zagrodę znanych nam gospodarzy.

— Dobry wieczór wam Jaryno!

— Ach jakżeście mnie przestraszyli, Ostapie! Zkądże tak późno Bóg prowadzi?

— Wyszedłem od Hryčka, i sam nie wiem po co zaszedłem aż tu. Ale wy Jaryno dotąd na dworze?

— Tak duszno w chacie, a po spieceniu dzienniej chciałam pochodzić trochę, tem bardziej że jutro nie trzeba wstawać do roboty.

— Zejdźcie tu nad wodę, tu chłodniej jeszcze.

Nie dała się długo prosić Jaryna: lekka jak przepióreczka, zbiegła na brzeg jeziora. Księżyc przegłądał się w wodzie; srebrna, karbowana powierzchnia jeziora szklila się w całym przepychu przed niemi; iskrzące się gwiazdy drżały na niebiosach, a świeża woiłak nadwodnych mile rzeźwiła zmysły.

— Jak ja lubię się modlić w taki wieczór! szepnęła Jaryna.

— A jak też ja lubię śpiewać! powiedział Ostap.

— Zaspiewajcie mi, Ostapie, wy tak piękne umiecie pieśni, a nigdy ich zbliżka nie słyszała.

— Dobrze. Zechciejcie popłynąć ze mną czółenkiem, oto stoi na brzegu.

— O! tak późno?...

— Wy się ze mną boicie, Jaryno?

— O nie, nie! I Jaryna była już w czółenku.

Ostap ujął wiosło i odbili od brzegu. Srebrna, wązka wstążeczka powisała się za czółenkiem; zielone wybrzeża i białe chatki zostały daleko za niemi; on śpiewał, a ona, niby zaklęta pieśni urokiem, siedziała cicho, z główką opartą na rękę, i patrzyła tylko to w niebo gwiazdziste, to w oczy młodego sieroty. I byłoby się pewno nie rozstali do dnia białego z czółenkiem, z pieśnią i ze sobą, gdyby nie usłyszeli pijackiej piosenki kilku gospodarzy, którzy się rozchodzili dopiero od kieliszka.

— Jaryno! oni was obaczą, oni nie powinni widzieć was ze mną. Ludzie są zli.

— Przypłynięciej prędzej do brzegu.

I wyskoczyła na miękką murawę.

— Jaryno, czy będziecie się znów modlić jutro na podwórku?

— A wy będziecie śpiewać?

— Będę. Więc do jutra.

— Do jutra, Ostapie.

I znowu nie było nikogo u brzegu. Księżyc kapał jak pierwej swój obraz we fale; rozkołysane czółenka chwiało się nad topielą, a z oddali tylko dolatywały ostatnie nuty Ostapowej piosenki.

Jeśli dwie dusze, złączone jeszcze w niebie, znajdują się poznają na ziemi, czy to w wyższych sferach towarzysztwa, czy wśród cichych prostoty wieśniaczego życia, zawsze z tych związków ducha rozlewa się światłość jakaś radosna, odłączająca kochające się serca od wszystkich i wszystkiego na świecie. Ludzie którzy się pokochali miłością wzniosłą, udzieloną sobie z nieba, czują się wyższymi nad innych i dlatego pragną się od nich usunąć.

Tak też było z Ostapem i Jaryną. Zawsze odosobnieni, unikali ludzi i zabaw; po całodzienniej pracy, szczęśliwi widzieli jak słońce kloni się z wolna ku szkarłatnej, wyłaczanej pościeli zachodu, bo wiedzieli że ciemność nocy niesie im szczęście, bo tam, u brzegu, kołysała się zawsze łódka malenka nad wygładzoną powierzchnią wody, a w Ostapowej piersi było niewyczerpane źródło pieśni, a w duszy Jaryny nieprzebrane skarby miłości i uwielbienia.

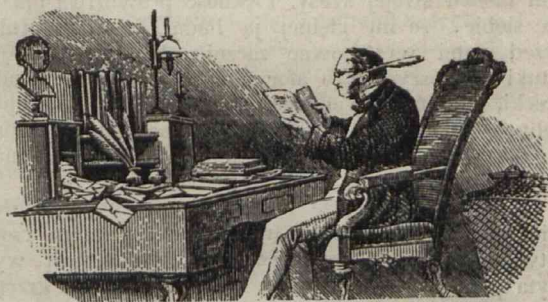
Rodzice Jaryny nie przypuszczali nawet myśli, aby ich jedynaczka mogła kochać ubogiego sierotę. Mocno zasypiając po ciężkiej zwykłej pracy, nie spuszczali z oka jakis że wychodziła co wieczór; dziad tylko stary dojrzał coś trochę, lecz znając całą czystość serca swej wnuczki i ceniąc prawdziwe zalety Ostapę, niewiele im przeszkadzało i lękał się tylko o to, co się stanie z młodymi, gdy rodzice się dowiedzą o ich skłonności, a związkowi przeszkodzą.

Wkrótce też gospodarz zapotrzebował najmyta. Dziad mu nadmienił Ostapę, jako znanego w całej wiosce z uczciwości. Nie myśląc więc długo, ugodzili go rocznie.

Co za szczęście dla kochanków, gdy się ujrzeli pod jedną strzechą! Dnie im się plotły, niby różane wianeczki, pięknie i młodo, nizały się jak perelki gładziutki. Nie spostregli jak im ubiegło parę tygodni najpiękniejszych w życiu.

Biedny Ostap szalał ze szczęścia, lecz nie odgadł się nie po nim. Czasem tylko, przy ciężkiej pracy, łza radości stoczyła mu się po twarzy, z kropkami krwawego potu zmieszana, albo myśl nagła błysła mu z oczów, jak przelotna błyskawica w chmurach, — i znów był jednaki, smutny i dumny zarazem. Jaryna zaś śpiewała i śmiała się naprzemian; odgadł się z oczów i twarzy, że nadzieja szczęścia krasi jej jagody, że życie się do niej uśmiecha czarodziejsko. To też ruta i barwinek zieleniły się pod jej okienkiem świeżej jak dotąd, bo je opella drobnemi rekoma, z myślą że z nich uplecie ślubny wianeczek.

(Dalszy ciąg nastąpi)



Panu T. w Warszawie. Z listu przed kilką dniami odebranego, nowy mamy dowód prawdziwości przysłówia: „Je- szcze się ten nie narodził... i t. d. Dotychczas zdania drukowane i piśmienne wypadły zawsze na korzyść nowej naszej winiety tytułowej, oddając sprawiedliwość zarówno jej pomyslowi, jak artystycznemu wykonaniu. Dziś bezimienny korespondent, zapewniający o „dobrych chęciach“ swoich, występuje nieco późno z jej nagana, nazywając rysunek *straszliwym*, a wykonanie *bardzo lichym*. O dobrych chęciach p. T. nie wątpimy, ale kompetencji jego sądu w rzeczach sztuki, niestety! najzupełniej zaprzeczamy jesteśmy zmuszeni. „Straszliwy“ ów rysunek wykonał jeden z najbardziej myślnych i najbieglejszych naszych artystów, a wyrzucił go na drzewie najlepszy drzeworytnik warszawski. Szanowny korespondent domaga się zmiany tytułu „już na przyszłą sobotę“, bo „dłużę patrzeć na niego niepodobna.“ Należy to żądanie dowodzi już samo z siebie dziwnego zagmatwania pojść. Gdyby p. T. miał chociaż elementarne wyobrażenie o technice drzeworytniczej, to wiedzieliby przecież powiniene, że sporządzenie ryciny takiej, z przygotowaniem odlewów galwanicznych, wymaga około dwóch miesięcy czasu. Podobnie wiedzieliby powiniene, iż figurę poezyi *rodzimej*, malarsze i rzeźbiarsze wszystkich wieków i narodów przedstawiali zawsze w stroju mieszanym, na polu starożytnym, na polu krajowym. Prosimy zresztą porównać bezstronnie konwencyonalne i nie mówiące winiety ilustracji zagranicznych, z tytułem naszym, a każdy przyzna że ostatni przewyższa tamte znakomicie i myślą i wykonaniem. Gdy jednak mimo to wszystko rysunek nasz razi tak bardzo oczy szanownego korespondenta, radzimy mu przeto albo nie patrzeć na niego przez szkło zafarbowane nieopartego na niczem uprzedzenia, albo też w ostateczności... wykreślić się z liczby prenumeratorów Tygodnika.

Panu Bał. w Częstochowie. Powieść o której pan wzmiankujesz nie doszła rąk osoby do której była adresowana. Prosimy o bliższe objaśnienie, jaką drogą nastąpiło jej przesłanie.

Panu A. B. w Krakowie. Kilkakrotnie już mieliśmy sposobność objawić swoje zdanie, że umieszczanie w pismach publicznych wierszy owacyjnych uważamy za niestosowne.

Panu S. R. w Niedzowie radzimy szczerze, aby pracę swą na inną skierował drogę. Szkoda w istocie czasu.

Panu B. w Wyszkowie. Nie zaprzeczamy prawdziwości twierdzenia pańskiego, ale pomyłka jest zbyt drobna, abyśmy prostować ją potrzebowali.

Panu X. z Ukrainy. Na utwor 7-letniej dziewczynki nadesłany wierszyk bardzo jest obiecujący. Warto kształcić i pielęgnować ten talent młodociany. Drnkować naturalnie próbek takich nie możemy.

Panu M. S. w Dąbrowie. Nadesłany rebus nie odpowiada prawdom tego rodzaju łamigłówek.

Panu Ignacemu z Sieradza. Gadamy się zupełnie na potrzeby krytyki zarówno w architekturze, jak w każdej innej gałęzi sztuki. To też dotknęliśmy już nieraz tego działu pod właściwą rubryką „Kroniki sztuk pięknych.“ Artykułów jednak opisujących zastosowanie materyałów i konstrukcyj budowl. jako zbyt specjalnych, drukować nie możemy. Właściwe dla nich miejsce byłoby jedynie w Dzienniku Politechnicznym, od kilku lat wychodzącym w Warszawie.